

ANO V · MAIO · JUNHO · 1964

N.º 41-42

4  
**pp**

**przeegląd polski**



**revista polonêsa**



# « BRASTRAF » INDÚSTRIA DE TREFILAÇÃO S. A.

## TREFILAÇÃO DE:

Tubos de aço com ou  
sem costura

Barras cheias redondas e  
com todos os perfís.

Arame de aço.

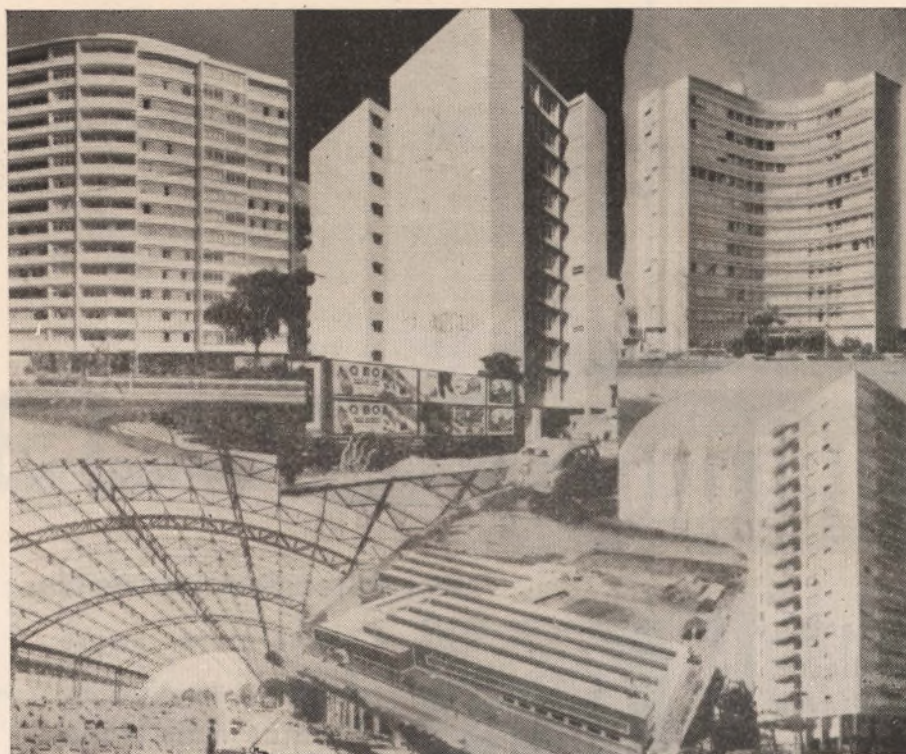
Rua Ibitirama, 1.800  
V. Prudente  
Enderêço telegráfico  
"BRASTRAF"

Enderêço para correspondência  
Rua 7 de Abril, 252 — 10.º

Fones: 63-3100  
63-3109

# SÃO PAULO





Organização completa de  
construções e projetos  
de edifícios  
industriais,  
residenciais  
e obras de  
engenharia

12 ANOS DE  
TRADIÇÃO

**Construtora e Imobiliária Tresel S. A.**

AVENIDA S. JOÃO, 1086 - 4.º And. - FONE 36-7186 (rêde interna) - SÃO PAULO



# « INTRAFERRO »

**INDÚSTRIA DE TREFILAÇÃO DE FERRO LTDA.**

**TREFILAÇÃO DE METAIS NÃO FERROSOS:**

Alumínio

Alpaca

Cobre

Latão

**Avenida Celso Garcia 1.338**

**phones: 93-1471**

**SÃO PAULO**



## Lona de Freios

# Thermoid

MARCA REGISTRADA

**- para qualquer carro!**

Usada como equipamento original pelos maiores fabricantes de automóveis e caminhões dos EE. UU.



- Brecadas mais rápidas
- Temperatura sempre baixa
- Duração mais longa
- Paradas mais suaves

Produzido no Brasil sob licença exclusiva e supervisão da THERMOID COMPANY, TRENTON N. J. U. S. A. por

**PLÁSTICOS DO BRASIL S. A.**

Avenida "F" (Travessa da Av. Tomaz Edison, 1251 - Barra Funda) — Fones 34-7413 - 35-9618 e 35-6726 — Cx. Postal 16327 (Casa Verde — SÃO PAULO.

Publitec 63-14

## À VENDA EM TODO O BRASIL

## NAS MELHORES CASAS DO RAMO



Elektryczne instalacje przemysłowe

niskiego i wysokiego napięcia

# ELOBRA

OBRAS ELÉTRICAS LTDA.

Brigadeiro Tobias 356 — 10.º Conj. 103 — Tel.: 34-0806

## São Paulo

# EMBELEZE SEU LAR

E VALORIZE SEU TV TORNANDO-O

MODERNO, FUNCIONAL E AGRADÁVEL

## Mesas ELEM para TV

PROCURE NAS LOJAS ESPECIALIZADAS

# Kubki papierowe



DO 1 LTR POJEMNOŚCI

## BUTELKI PAPIEROWE

(CONTAINER'S)

### Talerzyki i kubki papierowe

Na uroczystości, pikniki, etc. — (Fantasia)

OPAKOWANIA SPECJALNE DLA SUPER-MERCADOS, FABRYK KONSERW, ETC.

## INDÚSTRIA INAJÃ

### Artefatos, Copos, Embalagens de Papel S. A.

FABRICA: RUA CLELIA, 1642 — FONE: 62-8631 — SÃO PAULO

Enderêço Telegráfico: "COPINDUS"



# RESIL S.A.

INDÚSTRIA E COMÉRCIO

RUA MARTIM BURCHARD 254

FONES: 93-5050 - 92-2498

**CARCASSAS DE MOLAS DE AÇO  
PARA VEÍCULOS MOTORIZADOS**

---

## Korzystajcie z usług

Companhia para Expansão da Construção

**"COEXCO"**

COEXCO inkorporuje nowoczesne i komfortowe domy mieszkalne.  
W domach COEXCO rozmieszczenie mieszkań, ich wykończenie i estetyka pozostają na najwyższym poziomie.

### Pięć zasad COEXCO:

NIEZAWODNY TERMIN  
STAŁA, NIEZMIENNA CENA  
WŁASNE TERENY  
STARANNE WYKOŃCZENIE  
SPRZEDAŻ NA RATY

**Companhia para expansão da construção "COEXCO"**

SÃO PAULO, RUA SÃO BENTO, 279 — 12 PIĘTRO. — TEL.: 33-4737





**INDUSTRIA DE ABRASIVOS S.A.**  
Rua Fernandes Vieira, 174 - Belém - Fones: 92-2764 e 93-9700

## HENRYK ZYLBERMAN

Eng. Com. Ind. S. A.

Rua 24 de Maio, 35 — 9.º — Tel.: 34-7127

SÃO PAULO

Avisa seu próximo lançamento:

UMA GARAGEM AUTOMÁTICA

e

UM PRÉDIO PARA ESCRITÓRIOS

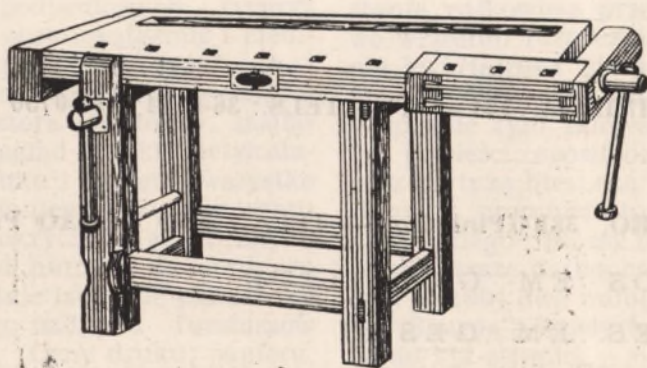
NA RUA BARÃO DE ITAPETINGA, 107 - 111

**AGUARDEM!**

## INDÚSTRIA DE MADEIRAS



RUA SOUZA LIMA, 200 — TEL.: 52-3942, — SÃO PAULO



Fabrykuje solidne warsztaty dla stolarzy, modelarzy i amatorów jak również dla ślusarzy, jubilerów i t. p.

Posiadamy duży zapas warsztatów gotowych.

## Tipografia

**ALADA LTDA.**

Rua Vitória, 237 Tel.: 35-2994

SÃO PAULO

Druki handlowe wszelkiego rodzaju

Zaproszenia na śluby

Karty wizytowe

Stemple

**WYKONANIE SOLIDNE**

**I TERMINOWE**



## Paczki i pieniądze

DO POLSKI I ZWIĄZKU SOWIECKIEGO

**P. K. O. — Warszawa**

**Tazab — London**

Zastępstwo:

Empresa — J. RAJIC LTDA.

Praça da Sé, 399 — 4.º

Telefon: — 33-4983 i 36-8530

**SÃO PAULO — BRASIL**

**CONSTRUÇÕES MECANICAS**

**ROZENOWICZ LTDA.**

Transportadores

Alimentadores

Elevadores

Peneiras

Moinhos de martelos

Estruturas metálicas

Rua da Balsa, 10 PIQUERI

Cx. Postal, 11.912 — SÃO PAULO

## ACMATEG

MATERIAIS

DE CONSTRUÇÕES

EM GERAL LTDA.

LADRILHOS - AZULEJOS

CERÂMICA

ELEMENTOS VAZADOS

LADRILHOS ESMALTADOS

MATERIAL DE CONSTRUÇÃO

EM GERAL, ETC.

Avenida Santo Amaro, 1480

Fone: 61-5802 — Recados

**SÃO PAULO**

# Casa Franca

**PEDRALIT REVESTIMENTOS LTDA.**

ESCRITÓRIO:

RUA BARÃO DE ITAPETINGA, 124 — 6.º — TELS.: 36-6734 E 36-0750

FABRICA:

RUA AMARO CAVALHEIRO, 381 (Pinheiros. — TEL.: 8-1189 — SÃO PAULO

REVESTIMENTOS EM GRANILITE

DECORAÇÕES EM GESSO

MASSAS PARA REBOCO

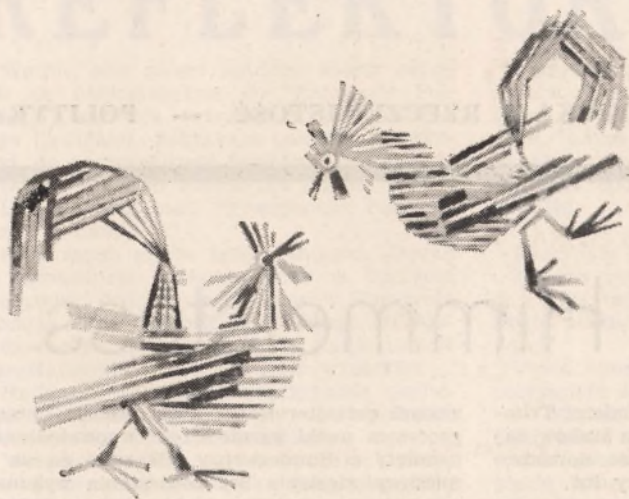
ARTEFATOS DE CIMENTO

ARTEFATOS DE GRANILITE

LADRILHOS







REDADORES RESPONSÁVEIS: Casimiro Kinskowski e Sigismundo Schlegel.

REDATOR CHEFE: Seweryn A Hartman

DIRETOR ADMINISTRATIVO: Sergio Elia.

REPÓRTER: José Fassina

REVISOR: Adelio Buono

EDITADA: pela Revista Polonêsa.

Redação e Administração: Av. Ipiranga, 1071 - 8.º - S/811/12  
Cx. Postal 4530 - Fone: 35-5432 — São Paulo — Brasil.

Assinaturas: Cr\$ 1.200,00 anuais (12 números). Para os estados do Paraná, Santa Catarina e Rio Grande do Sul Cr\$ 800,00.

Para o exterior: US \$ 3,00.

Composto e impresso na "GRÁFICA VICENTINA LTDA." —  
Alameda Cabral, 846 — Curitiba — Paraná

# OSTATNI NUMER



Tak wygląda przedszkole dla maluchów w Wieliczce.

Numer niniejszy jest ostatnim numerem "Przeglądu Polskiego". Prowadzona przez prawie pięć lat walka o utrzymanie czasopisma zakończyła się klęską. Walka ta, prowadzona w ciężkich warunkach, niemal samotnie, wśród nieustannych wycieczek podjazdowych rycerzy spod znaku obskurantyzmu i ciemnoty, była walką pełną poświęceń i samozaparcia. Groszowe wynagrodzenie redaktora i autorów, zasilających "Przegląd Polski" artykułami, koszt druku i papieru, wszystko to przed wydaniem każdego numeru wymagało pokrycia z wyzebranych ogłoszeń. Od numeru do numeru ważyło się stale istnienie pisma, nie posiadającego żadnych funduszy zapasowych. Ceny druku, papieru, klisz stałe zwykowały, cen prenumeraty i ogłoszeń nie można było podnieść. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Ostatnia zwyżka cen papieru i klisz przeważała szalę. Z żalem musimy zawiesić wydawnictwo.

Nie łatwo przychodzi skreślić słowa pożegnania. W tej chwili pozostaje nam tylko złożyć serdeczne po-

dziękowanie Czytelnikom, właścicielom firm, które wspomagały "Przegląd Polski" ogłoszeniami i wszystkim osobom, okazującym pismu życzliwość i pomoc.

Rozpoczęta przez "Przegląd Polski" działalność wydawnicza nie zostanie całkowicie przerwana. Już we wrześniu rozpoczniemy wydawanie kwartalnika literackiego o formacie książkowym pt. "Skarpa". W piśmie tym zamieszczać będziemy powieści, opowiadania i wiersze oraz krytykę literacką i artystyczną. Wszyscy prenumerujący "Przegląd Polski", którzy mają opłaconą prenumeratę do końca rb. otrzymają w r. 1964 dwa numery kwartalnika "Skarpa", każdy o objętości od 96 do 112 stron.

Jesteśmy przekonani, że dotychczasowi prenumerujący PP poprą nasz wysiłek.

Bardzo jednocześnie prosimy, aby ci wszyscy, którzy dotychczas zalegają z prenumeratą uiszcili jak najszybciej należność. Pozwoli nam to na spłacenie zobowiązań.

Redakcja

## W tym numerze:

- Spotkanie w Hotelu Angielskim.
- Nabywca majątków ziemskich — Monteiro Lobato.
- A czy Francuz oddał — Pinióra.
- Siwek Małyszka i Murzyn — Romana Wachowicza.
- Reflektorem po świecie — H. Przyborowskiego i wiele innych ciekawych artykułów.





Janusz Walczewski

# Zmartwychwstały Himmelstoss

Kiedy przed niespełna 10 laty Niemiecka Republika Federalna zaczęła na nowo tworzyć siły zbrojne, operowano tam powszechnie sloganem o "obywatelu w mundurze". Miało to oznaczać, że nowa armia zachodniemiecka zerwie całkowicie ze złymi tradycjami militarystyki i osławionego drylu pruskiego.

Armia ta, nazwana Bundeswehry, miała być przesiąknięta duchem demokratycznym, a jej żołnierzom — właśnie owym obywatelom w mundurze — obiecywano opiekę, która miała uniemożliwić jakiegokolwiek szykanę czy nadużycia władzy ze strony przełożonych.

Bundeswehra liczy już 12 dywizji, jej liczebność przekroczyła 400 tysięcy. Z upływem czasu hasło "obywatel w mundurze" bladło jakoś i szło w zapomnienie. Przyjęło się natomiast wśród oficerów i podoficerów Bundeswehry inne powiedzenie: "Rekruci to są diamenty — a diamenty trzeba szlifować!"

Jak wygląda w praktyce owo szlifowanie — zobaczyliśmy na przykładzie wydarzeń, które zaszły w kompanii szkoleniowej Bundeswehry oznaczonej cyframi 9/6, a stacjonującej w miejscowości Nagold. Wydarzenia te wykazały, że postać podoficera Himmelstossa, uwieczniona przez Remarque'a w głównej w okresie międzywojennym powieści "Na Zachodzie bez zmian", podoficera — który za główne swoje zadanie uważał maksymalne, a zupełnie bezsensowne drczenie podległych sobie żołnierzy nie jest i obecnie fikcją literacką.

Pierwszym sygnałem ostrzegawczym, że w kompanii 6/9 nie wszystko jest w porządku, był "żart", którego dopuścili się trzej porucznicy i dwaj feldfeble. Dokonali oni "wychowawczego" napadu na jednego z wartowników. Rozbroili i obezwładnili tego żołnierza, zakneblowali mu usta, a następnie związali zgiętego w kabłąk, załadowali do bagażnika samochodu i wywieźli 10 km za Nagold, gdzie go zostawili w rowie, by "nauczył się czujności na warcie". To swoiste poczucie humoru nie znalazło zrozumienia ani w opinii publicznej, ani w oczach sądu, który autorem "kawału" wymierzył kary od trzech do sześciu miesięcy więzienia.

Wybryk ten nie był jednak zjawiskiem wyjątkowym i osamotnionym. W lecie ubiegłego roku podczas forsownego marszu, odbywanego w 30-stopniowym upale, kilku żołnierzy kompanii 6/9 brutalnie poganianych i maltretowanych przez podoficerów — wskutek kompletnego wyczerpania — zemdlali, a jeden z nich — niejaki Gerd Trimborn, zmarł następnie w szpitalu. Okoliczni robotnicy budowlani widzieli, jak jednego z całkowicie wyczerpanych żołnierzy "szarża" popędzała kółką od karabina. Widziano i gorsze rzeczy. Powiadomiony o tym miejscowy pastor ewangelicki złożył doniesienie do policji. Gdy jednak wkrótce potem odwiedziło go trzech oficerów, którzy solennie przyrzekli ukaranie winnych, pastor wycofał swe doniesienie.

Złożył je powtórnie na wieść o śmierci Trimborna. Wówczas stał się obiektem ataków, zarzucono mu pacyfizm, stronnictwo, uprzedzenie w stosunku do Bundeswehry itd.

Jeden z generałów zachodniemieckich usiłował publicznie tłumaczyć, że twarde, surowe szkolenie żołnierzy jest konieczne...

Gdy ojciec zmarłego tragicznie żołnierza Trimborna domagał się uparcie ukarania winnych śmierci syna — kompetentne instancje wojskowe wyraźnie uchylały się od nadania biegu sprawie. Dopiero energiczne protesty niektórych organów prasy spowodowały wszczęcie śledztwa i wytoczenie winnym sprawy przez prokuraturę.

A przy okazji okazało się, że w kompanii 6/9 w Nagold działy się i inne rzeczy. Było tam więcej "Himmelstossów", którzy robili sobie sport czy rozrywkę z szykanowania, poniżania, a nawet sadystycznego wręcz znęcania się nad rekrutami. Dopiero gdy historia ta stała się głośna i nie można jej było zatuzować — wkroczyły z trzaskiem wyższe władze wojskowe. Dowodzący II korpusem Bundeswehry gen. Hepp zarządził rozwiązanie kompanii 6/9 i karne przeniesienie jej dowódcy — por. Schallwiga — do innego pułku oraz wymazanie z rejestrów tej "hańby dla Bundeswehry", a generalny inspektor zachodniemieckich sił zbrojnych — gen. Foertsch (który z nowym rokiem przeszedł na emeryturę), użył nader dosadnego zwrotu o "świńskim chlewie" w Nagold...

Winny znęcania się nad rekrutami w Nagold wytoczono ogółem 8 procesów, z których pierwszy już się odbył. Ujawnił on interesujące szczegóły. Na ławie oskarżonych



Gotycko-renesansowy ratusz w Tarnobrzegu.

zasiadł gefrajter Raub, który jeszcze przed procesem został karnie i bez wypowiedzenia usunięty z Bundeswehry. Skazano go na 8 miesięcy więzienia bez zawieszenia wykonania kary za poniżające traktowanie podwładnych i maltretowanie ich w sadystyczny niekiedy sposób. Raub nie poczuwał się do żadnej winy, co więcej! — wyrażał zdumienie, że w ogóle coś mu się zarzuca, on sam był bowiem "szkolony" w taki sam, a może nawet jeszcze gorszy sposób...

Charakterystyczne: Raub liczy 22 lata. W Bundeswehrze rozpoczął służbę jako ochotnik w styczniu 1962 r., a już w kwietniu tegoż roku, ledwo sam ukończył kurs rekrucki — zatrudniony został jako "pomocniczy szkoleniowiec" przy ćwiczeniu młodszych kolegów. Nigdy nie był w normalnej, liniowej jednostce wojskowej, ale miał bardzo wysokie mniemanie o swym powołaniu, uważał bowiem, że rekrutów należy za wszelką cenę złamać, by zrobić z nich żołnierzy.

Jak się do tego zabierał — o tym była mowa na procesie. Kazał np. czyścić brudny wentyl od maski gazowej przy pomocy ... wysysania, dodając przy tym drwiąco, że wentyl dobrze smakuje. Zameczał podwładnych rozkazując im robić niezliczone skoki "żabką" i "padnij - powstań", odbywać biegi w maskach gazowych, czołgać się po schodach w górę i w dół lub pełzać poprzez sterty cuchnących śmieci. Gdy pewien wyczerpany żołnierz nie mógł nadażyć w biegu za swoją grupą — Raub kazał "za karę" zrobić całej grupie 60 skoków "żabką". Innym razem polecił żołnierzowi ze zranioną nogą zrobić 20 "żabek", gdy zaś ten próbował wytłumaczyć, że nie może tego rozkazu wykonać — Raub nie dopuszczając go do słowa kazał zrobić 30, a następnie 50 "żabek". Wreszcie, gdy okazało się, że "żabki" rzeczywiście nie wychodzą — zamienił je na inne równie męczące ćwiczenia, które "obywatel w mundurze" musiał wykonywać aż do zupełnego wyczerpania.

Obiektem szczególnej "opieki" Rauba stał się rekrut Weidemann. Raub powiedział doń kiedyś: "Weidemann, mam trzech przyjaciół w kompanii. Dwóch już nie żyje, wy jesteście ten trzeci". Rzeczywiście, wszystko wskazywało na to, że Raub stara się wyprawić Weidemanna na tamten świat, tak go zameczał bezsensownymi "ćwiczeniami". Kazał mu się np. czołgać przez kałuże z rękami założonymi na plecy. Innym razem pod pretekstem, że Weidemann wrócił jakoby zbyt późno z kantyny, Raub kazał mu przeszło godzinę robić na dziedzińcu koszar najbardziej męczące ćwiczenia — biegi, przysiady, skoki "żabką", czołganie się i wiele innych — aż nieszczęsna ofiara padła w końcu zupełnie wyczerpana i niezdolna do ruchu. Powiadomiony o tym oficer służbowy ograniczył się do zapytania Weidemanna, czy chce złożyć zażalenie. Ten "nie chciał" — wiedział bowiem, czego się może potem spodziewać. Raub zaś powiedział cynicznie do oficera, że "Wei-



# REFLEKTOREM PO ŚWIECIE

Wątpię, aby nawet ludziom, którzy odnośli się nieprzychylnie do "Przeglądu Polskiego", sprawiła satysfakcję wiadomość o jego likwidacji. Zabraknie tematów do krytyki, do uszczypliwych liścików i drwinek.

O przyjaciółach mówić nie trzeba.

Uronią łezkę nad "Przeglądem Polskim" razem z nami.

Po przeszło pięciu latach zmagani, biegnięcia za ogłoszeniami, łatania dziur w budżecie, męczących podróży do drukarni w Kurytybie, okazało się że dochody przez nikogo nie subsydiowanego pisma nie są w stanie pokryć wzrastających z dnia na dzień wydatków.

Najlepsza wola naszych przyjaciół, pochodzących przeważnie ze sfer niezamożnych, nie potrafiła zażegnać katastrofy.

"Przyszła kryska — na Matyska". Przyszła godzina na Seweryna. Nie tylko zdarł zelówki na lataninach, ale także i zdrowie.

Z melancholijnym uczuciem siadam dziś do pisania ostatniego "Reflektora". Zgaśnięcie jak zgasło już tyle nadziei podczas naszej dalekiej tułaczki.

Niemniej, pragnę do końca zachować beztraskie spojrzenie na świat.

O ile w przyszłości czytelnik znajdzie zawieszony numer "Przeglądu Polskiego" i przypadkowo otworzy go na tej stronie, niechże się — uśmiechnie. Będzie to dla mnie nagrodą, albowiem pragnąłem tylko dać chwilę pogodnego wytchnienia.

## Dr. STANISŁAW BUNDYRA

Jedyny adwokat polski w São Paulo  
Członek Związku Adwokatów Brazylii

Załatwia wszelkie sprawy sądowe:  
cywilne, handlowe i pracownicze,  
jak: inwentarze, mieszkaniowe,  
upadłościowe itp.

BIURO: Rua Senador Feljó, 29  
4 p. s. 417

(obok Katedry) tel.: 35-6521

PRZYJMUJE OD GODZ. 14 DO 19

Dok. ze str. 8

demann — to mój szczególny przyjaciel". Oficer odszedł uznawszy rzecz za wyjaśnioną...

Zołnierze, którzy w śledztwie mocno obciążali Rauba przedstawiając jego sadystyczne praktyki — jako świadkowie w sądzie wyraźnie starali się osłabić wymowę tych zeznań. Nic dziwnego: na sali sądowej siedzieli po cywilnemu ich przełożeni. A jakie było nastawienie tych oficerów, o tym świadczy najlepiej zachowanie się byłego dowódcy kompanii 6/9 — por. Schallwiga, który po ogłoszeniu wyroku demonstracyjnie wziął Rauba pod ramię, wyprowadził z sali i odwiózł do domu służbowym samochodem Bundeswehry. (Raub bowiem nie został jeszcze aresztowany).

W NRF czyni się obecnie wiele wysiłków, by przedstawić sprawę w ten sposób, że chodzi tu tylko o odosobnione wybryki Rauba i paru jemu podobnych, nie zaś o całość Bundeswehry. Lecz nawet prezydent NRF Luebke w orędziu noworocznym biorąc w obronę siły zbrojne zmuszony był wyrazić zdumienie, jak mogło się stać, że tego rodzaju wybryki uchodziły tak długo uwagi przełożonych. Gest Schallwiga i oświadczenie generała, który wystąpił jako rzecznik "twardego szkolenia", dały na to odpowiedź.

Tym ostatnim razem, nie będę czerpał tematów z pism różnojęzycznych, ale z — pamięci.

Ot, proszę sobie wyobrazić, że siedzimy wspólnie "przy kominku", a niepoprawny gawędziarz opowiada przyjaciółom wesołe historyjki.

— ☆ —

Zaczynam od — średniowiecza.

Dzielnym rycerzem Gaston Cöer de Coque, udając się na Wyprawę Krzyżową, przystroił swoją młodą i piękną żonę w "pas niewinności".

Przed opuszczeniem zamku zwrócił się do przyjaciela Manuela de Pimpanpon.

— Manou, — powiedział — tobie jednemu tylko mogę zaufać. Oto klucz do stalowego "pasa niewinności". Jeśli nie powrócę po pięciu latach, jeśli padnę na polu chwały, wręcz go mojej żonie.

Ujechawszy trzy mile uciążliwej drogi, Gaston Cöer de Coque, usłyszał za sobą tętent galopującego konia. Z tumanów kurzu wyłonił się Manuel.

— Stój, nieszczesny! — zawołał — Pomyliłeś się! Daleś mi klucz, który nie pasuje!!!

\* \* \*

Właściciel hoteli i domków "campingowych" Mr. Bill MacPorter, dążył pod wysoką górę swoim Rolls-Bentleym. Przed nim, wspinając się mozolnie obciążona plecakiem młoda panienska. W pewnej odległości poza nią sapał przystojny mężczyzna. Mr. Bill zatrzymał samochód.

— Proszę siadać! Jestem tak wzruszony wysiłkiem państwa, że pozwolę sobie ofiarować tygodniowy darmowy pobyt w moim obozie "campingowym".

Samochód zatrzymał się przed małym, ślicznym domkiem.

— Przyjemnego odpoczynku! — zawołał Mr. Bill.

Po dwóch dniach właściciel obozu "campingowego" spotkał uroczą panienską na plaży.

— Czy państwo są zadowoleni? — zapytał. — Niczego państwu nie brakuje?

— Niczego — zawołała panienska. — Czujemy się świetnie! Chciałabym jednak pana o coś zapytać.

— Proszę bardzo.

— Czy nie zna pan przypadkiem nazwiska tego młodego człowieka, którego ułokował pan ze mną w tym samym pokoju?

\* \* \*

Zatonął okręt.

Dick Murray dopłynął na tratwie do bezludnej wyspy. Broda mu wyrosła do kolan. Któregoś ranka zobaczył śliczną dziewczynę, która żeglowała ku wyspie, trzymając się beczki.

— Jak długo pan tu przebywa? — zapytała, zbliżywszy się do brzegu.

— Sześć lat.

— Tak długo? — zdziwiła się panienska. — Na szczęście będę mogła ofiarować panu coś, czego był pan pozbawiony tyle lat...

— Co pani mówi?! — wykrzyknął Dick. — Nigdy nie przypuszczałem, że w tej beczce jest piwo!!!

\* \* \*

Młoda zaręczona para, znalazła się w miejscowości lotniskowej.

Wszystkie hotele i pensjonaty były

przepelnione. Nareszcie w jednym z hotelików ofiarowano im pokój na dwie osoby.

Ustawimy parawan pomiędzy łózkami, — powiedział właściciel hotelu i wszystko będzie w porządku.

Po zgaszeniu światła, młoda narzeczona powiedziała:

— Kochanie, tu bardzo duszno, czy nie mógłbyś otworzyć okna.

Młody człowiek spełnił to życzenie. Po pół godzinie panienska ponownie powiedziała:

— Kochanie, czy śpisz?

— Nie.

— Zrobiło się bardzo zimno, proszę cię zamknij okno.

Prośba o otwarcie i zamknięcie okna powtórzyła się jeszcze trzykrotnie.

Za czwartym razem, młody człowiek nie wytrzymał:

— Słuchaj kochanie, czy nie moglibyśmy się uważać za męża i żonę?

— Z największą przyjemnością.

— No to, psia krewo, zamykaj i otwieraj sama to cholerne okno!

\* \* \*

Młody handlowiec, Mr. Brian Smith, nareszcie znalazł poważnego klienta. Aby go "zrobić na miękko" zaprosił go na wystawną kolację do hotelu Claridge.

Wchodząc do restauracji zauważył siedzącego w rogu znanego milionera Charles'a Cottona. W pewnej chwili podszedł do niego i przedstawivszy swoją sytuację, poprosił, aby przez chwilę udawał, że są w przyjacielskich stosunkach.

— Będzie to dla mnie bardzo dobre — powiada — jeśli mój klient pomyśli, że mam tak ważną w świecie handlowym osobę. — Chodzi o to, żeby przechodząc obok naszego stolika, poklepał mnie pan poufale po ramieniu i powiedział: "Zobaczymy się niedługo, kochany Brianie".

Milioner, ubawiony tą niezwykłą prośbą, obiecał że się do niej zastosuje.

Istotnie, przechodząc koło stolika Mr. Smith, poklepał go po ramieniu i wyrzekł:

— Hallo! Brian, zobaczymy się z tobą niedługo!

— Ach, to ty Cotton, — odpowiedział niechętnie Brian Smith — Nie przeszkadzaj mi, czy nie widzisz, że jestem zakładaj!

\* \* \*

Pewien marzyciel zjawiał się codziennie w miejscu postoju samochodów. Siedział na ziemi pomiędzy lśniącymi limuzynami, udawał, że naciska starter, przebiegał nogami na niewidocznych pedałach, kręcił nieistniejącą kierownicą.

Doktor-psychiatra zauważył go idąc do swojego samochodu.

— To wariat — powiedział do dozorczy. Trzeba mu wytłumaczyć, że siedzi na ziemi, a nie w samochodzie.

— Niech pan tego nie robi — zaprotestował dozorca. On mi codziennie daje pięćset kruczejrów za mycie swojego wozu.

\* \* \*

Zamożna dama zjawiała się u malarza z propozycją namalowania swojego portretu.

— Cena za portret wyniesie tysiąc dolarów — zawiadomił ją malarz.



Dama wypisała czek i podała artyście.  
 — To jest czek nie na tysiąc, ale na trzy tysiące — zauważył zdziwiony.  
 — Podniosłam honorarium, — oświadczyła dorodna niewiasta — gdyż chcę żeby pan mnie malował — nago.  
 — Zgoda, — odpowiedział malarz, ale pod warunkiem, że będę mógł mieć na sobie skarpetki — Muszę za coś zatykać pędzle.

\* \* \*

Pan Alojzy Bulbas, wchodząc do baru, został zatrzymany przez starszą matronę w stroju "Armii Zbawienia".

— Nie chodź pan tam! — ostrzegła go, — alkohol jest przekleństwem ludzkości, z porządnego człowieka, za jakiego pana uważam, robi — swinię! To jest trucizna, którą powinno się wlewać do rynsztoka.

— Skąd pani o tym wie? Czy piła pani w swoim życiu wódeczkę? — zapytał p. Bulbas.

— Nigdy! — odpowiedziała matrona.  
 — Jak pani może mówić o czymś, czego pani nie zna? Przyniosę tu kieliszeczek, to się pani przekona, że tak źle nie jest.

— Jakże ja, osoba w mundurze "Armii Zbawienia", mogę się ukazać z kieliszkiem w rękę na ulicy!

— Zrobimy tak — zawyrokował p. Bulbas, — przyniosę whisky w filiżance. Ludzie pomyślą, że pije pani herbatę.

— Niech mi pan naleje filiżankę whisky — zwrócił się do barmana.

— Znowu ta Margareta z "Armii Zbawienia" stoi przed drzwiami? — zapytał barman, nalewając pełną filiżankę złocistego płynu.

X X X

Siedziałem — kilka lat temu — na wygodnym fotelu w "hall'u" luksusowego hotelu i przysłuchiwałem się ożywionej rozmowie. Było to po tzw. "homenagem" na cześć jakiegoś urzędnika opuszczającego pewną firmę.

Jeden z młodych nadleśniczych, — prawa ręka "superintendenta" leśnego, opowiadał o swojej karierze jako przemysłowca, którym to zawodem trudnił się ostatnio na granicy Brazylii i Argentyny. Zawód był miły i przynosił doskonale dochody. Co było niemile to więzienie argentyńskie. Radził szczerze, żeby go — o ile to możliwe — unikać.

Audytorem, przesłuchiwało się opowiadaniu z widocznym zainteresowaniem, przerywając je tylko mniej albo więcej fachowymi pytaniami.

Kiedy większość towarzystwa poszła na wódkę, zwróciłem się do naszego szefa, — cwego "superintendenta" z zapytaniem:

— Niech mi pan powie jak to możliwe, żeby przemysłowca, innymi słowy kryminalista, miał tu wysoką pozycję i kolegował z ludźmi — pragnę w to wierzyć — uczciwymi? ("O naiwności! Ty nie masz granic! — Arystofanes).

Superintendent skrzywił się sceptycznie i powiedział:

— Przemysł nie jest tu uważany za poważne przestępstwo.

— Zauważyłem to — odrzekłem — albowiem senior X. Z. opowiadał o swoich wyczynach szmuglerskich jakby mówił o kolekcjonowaniu motyli. Wydaje mi się, że moglibyśmy wystawić tu drugi akt opery Carmen (przemysłowcy w górach). Fachowców i doświadczonych aktorów by nie zabrakło.

Superintendent, wyraźnie zniechęcony rozmową, dołączył do kompanii popijają-

cej dżin czy też kaszase i objął poufale ramieniem swojego ulubieńca, nadleśniczego — przemysłowca.

Ten wieczór, — upamiętniony w prowadzonym przeze mnie wytwale od wielu lat "Dzienniku" — przypomniał mi się kiedy czytałem amerykański miesięcznik "Journal" (Volume LXXXI - 1964).

W artykule zatytułowanym: "Jak się zachowywać w towarzystwie" autor P. Bracken, pośród dziesiątków innych, daje takie rady:

"Jeśli masz dosyć nudziarza, skurcz boleśnie twarz, wskaż delikatnie na brzuch i opuść pokój w kierunku garderoby. Możesz także podskoczyć i wykrzyknąć żeś zapomniał wyłączyć kluczyk w samochodzie. Nigdy nie wracaj na to samo miejsce". Albo: "Często wylewne osoby zdradzają osobiste sekreta. Możesz np. usłyszeć, że mąż pani A. siedzi w więzieniu za kradzież samochodu. Etykieta nie wymaga od ciebie takiej samej szczerości. Powiedz tylko: "A to bardzo zajmujące. Mam nadzieję że dobrze się skończy" (str. 31).

Jeśli idzie o nadleśniczego p. X. Z. to na pewno skończyło się znakomicie.

Są takie zakątki na kuli ziemskiej gdzie uczciwość... "O naiwności"! — jak to kiedyś zauważył słusznie niejaki Arystofanes.

\* \* \*

W listach do redakcji pism Mr. R. Macgie zamieszkały w Renfrew (Szkocja), domaga się przyznania tegorocznej nagrody Nobla wynalazcy tańca "twist". Twierdzi on, że jeżeli by pod berlińskim murem grano jego skoczną melodię, niemieccy bolszewicy rozebrali by tę wspianą budowlę z własnej woli.

Nie można odmówić racji Mr. Macgie: trąba i bęben odgrywały zawsze doniosłą rolę w życiu ludzkości. Cymbał — ditto.

\* \* \*

Nasi słodziutcy milusińscy, Niemcy — Zachodnie, nie pozbawieni są subtelności. Oto domagają się od rządu brytyjskiego wypłaty 370.000 funtów szterlingów "za szkody poczynione przez wojska królowej Elżbiety podczas ostatnich manewrów, które się odbyły na terenie Republiki Federalnej".

Ciekawe, że Republika Federalna winna jest w tej chwili Wielkiej Brytanii 70.000.000 funtów, za dostawy które otrzymała. Nie licząc — idących już w miliardy — szkód, jakie "manewry" Reich-Marszala Goeringa wyrządziły poważnym w gruzy miastom angielskim.

Rząd Mr. Alec'a Hume'a rozpatruje pretensje niemieckie. — Zamiast wyrzucić subtelny papierek do kosza i wyznaczyć termin na spłatę przez Herr Erharda długu wobec skarbu brytyjskiego.

\* \* \*

Do znachora-weterynarza przyszedł kabokło.

— Mój pies jest chory — powiedział.

— Przed snem — poradził znachor — pomyśl o trzech złodziejach. Rano pies będzie zdrow; to jest wspaniałe lekarstwo.

Pies zdechł. Kabokło zjawił się ponownie u znachora z tą smutną wiadomością.

— O kim pomyślałeś? — zapytał znachor.

Kabokło wymienił nazwiska trzech znanych polityków z b. gubernatorem na czele.



W Opolu zorganizowano na świeżym powietrzu wystawę rzeźby współczesnej.

— Nic dziwnego, że pies zdechł — stwierdził znachor — dałeś mu za silną dawkę lekarstwa.

\* \* \*

Nareszcie coś weselszego z Paryża. Emerytowany adwokat, p. François Bougarbié, siedział za stolikiem w swojej ulubionej restauracji na Madelaine, rozkoszując się lagostą w sosie à la Richelieu. Podniósłszy do ust kieliszek z Chateaux de Grande Marnier (1903) o barwie rubinu, p. François zerknął na ekran telewizyjny. Właśnie w tej chwili kelner miał zamiar postawić przed nim półmisek z Poulette Pompadour z pieczarkami.

Ale nie postawił.

Bougarbié zerwał się zza stołu, rzucił talerz z niedokończoną lagostą na ekran telewizyjny, wyrwał z ręki kelnerowi półmisek, który poleciał w tym samym kierunku.

— Barbarzyńcy! — ryczał p. François — Łajdaacy! Kanalie!...

Cóż się okazało? "Barbarzyńcy" z telewizji pokazywali parodię wyścigu rowerowego dookoła Francji. Prowadził go Napoleon Bonaparte, przybrany w stosowany kapelusz, kolorową koszulkę i krótkie białe spodnie.

W komisariacie policji p. Bougarbié wygłosił godzinne przemówienie.

"Zaprotestowałem przeciwko poniewieraniu wielkości Francji! — oświadczył. Za Napoleonem poznałem Murata i Ney'a na tandemie. Jestem bonapartystą i będę bronił cześć cesarza do ostatniego tchnienia.

Widocznie komisarz policji był także bonapartystą, bo uwolnił go od kary.

"Vive la France! Vive le General de Gaulle! — zawolali zgodnie na pożegnanie.

\* \* \*

W Kassel, (Niem. Rep. Federalna), 44-letnia M. Nagel stanęła przed sadem za przyczynienie się do śmierci 14 osób. Frau Nagel była właścicielką "Domu Zdrowia", przeznaczanego dla starszych pacjentów i w tym charakterze Frau Na-



# SELEKCJA



W sztuce Brechta "Wizje Simony Machard", wystawionej przez Teatr Dramatyczny w Warszawie, występuje w roli tytułowej 12-letnia uczennica szkoły im. Hoffmanowej w Warszawie. Jest to jej pierwszy występ na scenie teatralnej.

gel biła ich pałką po głowie, pakowała do lodowatej kąpieli, kneblowała usta i znęcała się.

Podczas przewodu sądowego prokurator domagał się zastosowania ściślejszej kontroli nad tego rodzaju instytucjami i stwierdził, że Frau Nagel była poprzednio "pielęgniarką" w jednym z hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Dodał także, że uważa postępowanie tego rodzaju za sadyzm.

Czego się spodziewał? Zachowanie Frau Nagel było tylko wynikiem — siły przyzwyczajenia.

A któż ma "kontrolować" sadystkę? Urzędnicy bońskiego rządu, z których wielu "pielęgnowało" więźniów w obozach zagłady?

\* \* \*

Pro persona mea: Otrzymałem dwa listy od czytelników, w których mi soczyście naurągano za to co piszę.

Pierwszy jest podpisany, autor jego posiada doskonały styl i sądząc po temperamentie jest człowiekiem b. młodym. Drugi — anonimowy, zawiera wiele błędów ortograficznych i gramatycznych, choć list wyprodukowano na nowoczesnej maszynie do pisania.

Nie znając adresu, nie mogłem odpisać. Z tego powodu rada:

Jak się W. Panom nie podoba co piszę, uprzejmie proszę mnie nie czytać. Nie obrażę się, gdy stronicę z moim nazwiskiem zostaną pominięte w lekturze. Ja np. nie czytam W. Gombrowicza i mam spokój.

Temu się podoba ten, innemu — inny. Do wyboru do koloru.

Szkoda pieniędzy na papier i znaczki pocztowe. Kruzejro jest coraz mocniejszy, dolar spadł, zalecam oszczędność.

Siedzieliśmy w rodzinnym gronie, gdy nasz starszy syn Marek, odrabiający lekcje biologii przy stole, zapytał niespodziewanie:

— Co to właściwie jest ta selekcja?

Spojrzałem na żonę — ona spojrzała na mnie i zrozumieliśmy się bez słowa. Chwilę panowało milczenie, nim do świadomości naszej dotarło, że chłopiec uczy się o Darwinie i w związku z tym prosi o wyjaśnienie pojęcia doboru naturalnego — selekcji. Dla mnie i dla żony słowo to bowiem kojarzy się z najmroczniejszym okresem naszego życia: z selekcjami w obozach koncentracyjnych. Moja żona była więźniem obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, a ja więźniem męskiego obozu w Brzezince.

Poznaliśmy się w obozie koncentracyjnym i, bez nadziei że przeżyjemy, umówiliśmy się na po wojnie w ustalonym miejscu. Żonę ewakuowano z Oświęcimia do Ravensbrück, a ja zostałem wysłany do Sachsenhausen, a później dalej do Dachau i Litomierzyc. Oboje przeżyliśmy jednak i spotkaliśmy się po wojnie w ustalonym miejscu. Od 19 lat jesteśmy małżeństwem i mamy dwóch synów. Lecz oto gdy starszy chłopiec zwraca się do nas z prostym pytaniem: — Co to właściwie jest selekcja? — wymieniamy spojrzenia i nic nie mówiąc, rozumiemy się bez słowa.

W encyklopedii pod hasłem "selekcja" albo "dobór naturalny" znajdziecie wyjaśnienie, że jest to podstawowy czynnik w hodowli zwierząt lub roślin, dobieranie się lub dobieranie osobników najlepiej przystosowanych do środowiska — problem stanowiący temat pracy wielu uczonych z Darwinem na czele.

Dla mnie i mojej żony słowo selekcja ma jednak złowrogi sens — sens gwałtownej śmierci lub życia od śmierci gorszego, gdyż ostatecznie śmierć nie była tym najgorszym, co mieli do zaoferowania nasi prześladowcy z Oświęcimia. Słowo to wyzwała falę wspomnień... Staliśmy uszeregowani przed barakiem, nadzy, odarci z nędznych szat i czeluzienstwa, wystawiając na światło dzienne nasze ciała zniszczone głodem i poniewierką: zwiotczałe mięśnie, obrzękłe kończyny i zapadłe brzuchy. Ogolone głowy i zwiędła skóra upodobniały nas bardziej do trupów niż do ludzi.

Staliśmy nadzy i czekaliśmy na selekcję. Za chwilę gromadka dręczycieli, syta i junacko wesola, bawiąc się znakomicie naszą nędzą i upodleniem które podnosiły samopoczucie tych nadludzi, przedfiluje przed nami, taksując nas jak się taksuje bydło rzeźne. Szpicrutami, aby nie kalać rąk, wskażą tych, których przeznaczają na śmierć, tych których pośludki nie posiadają już zupełnie tkanki mię-

— ☆ —

Wobec tego, że dla braku miejsca nie mogę odpowiedzieć na listy jakie ostatnio otrzymałem, zanim wylączę ostatecznie kontakt "Reflektora", dziękuję wszystkim życzliwym mi czytelnikom za słowa które byli tak łaskawi mi poświęcić.

Jestem przekonany, że pomimo braku — "Przeglądu Polskiego" będą popierali inne nasze wydawnictwa i o słowie polskim — nie zapomną.

Ślę wam drodzy państwo, moje najlepsze myśli.

HENRYK PRZYBOROWSKI

snej i tłuszczowej, którzy podpadają pod określenie "gamlów" lub "muzulmanów", jak ich nazywa obozowa gwara.

Będzie to selekcja na śmierć, wyrok dla najbardziej zabiedzonych, trzeba więc nabrać do płuc najwięcej powietrza aby klatka piersiowa zaprezentowała się dobrze, trzeba wysoko podnieść głowę i trzymać się prosto, trzeba lekko zaróżowić policzki energicznym szczypaniem lub kawałkiem buraka. Trzeba walczyć w tej chwili o życie.

A jeśli dzisiaj wybierają najzdrowszych i najsilniejszych? Takich, którzy nadadzą się jeszcze do roboty w krematoriach, do palenia trupów, do specjalnej grupy zwanej "Sonderkommando"? Po trzech miesiącach potępięcej pracy wśród płomieni i tysięcy zagazowanych trupów, człowiek staje się hieną, traci umysłową równowagę i gdy nadchodzi likwidacja załogi krematoryjnej, wita śmierć jak wybawicielkę z otchłani.

Jeśli szukają zdrowych i silnych, jeśli kompletują nowe "Sonderkommando", należy udawać słabego, skurczyć się, wypuścić powietrze z płuc i nie wpadać w oko.

Oto jest problem, który trzeba rozwiązywać wielokrotnie: do czego dziś biorą — jaka to selekcja? Na śmierć czy do roboty gorszej od śmierci?

Stoję nagi w szeregu i czekam na swój los zawieszony u końca SS-mańskiej szpicruty. Od bramy obozowej nadchodzi wiadomość pantoflowa: to jest normalna selekcja, wybierają kontyngent 500 ludzi do gazu. Nawet nieduży kontyngent. Nieduży dla tych co zostaną żywi. Do jutra.

Oto nadchodzą. Teraz nabrać powietrza w płuca i przybrać pozę człowieka rzeźkiego. Śmieją się i zartują. Przeszli jak powiew śmierci. Z naszej grupy wybrali kilkunastu najbardziej zmizerowanych i zabiedzonych. Kazali odstawić ich na bok i odnotować numery wytatuowane na przegubach rąk. Można skreślić ich z listy wyżywieniowej. Nie potrzebują już ani chleba ani zupy. Żyją jeszcze, ale już są umarli. My wygraliśmy rundę. Możemy odetchnąć do następnego razu. Normalna rzecz: selekcja.

Po południu miałem list od żony. Przyniósł go znajomy z grupy dacharzy, którzy reperują dachy na kobiecym łagrze. Pisze mi żona, że u nich też była selekcja:

— Wczoraj złapali mnie w czasie odtawy do pobierania krwi. Zaprowadzili nas na szpitalny rewir i brali od każdej po kilkaset centymetrów krwi. Od wyglądających zdrowiej brali do pół litra. Przy takim odżywieniu anemia jest nieunikniona. Nie mają żadnych zastrzeżeń rasowych: krew żydowską dla swoich żołnierzy pobierają na równi z krwią aryjską. Mnie się udało, gdyż mam cienkie żyły. Kluli mnie igłą kilka razy, ale nie mogli wejść w żyłę i machnęli na mnie ręką. Puścili mnie. A tamte, jeśli nie będą się mogły dożyć, przy następnej selekcji pójdą jako mizerne i chere...

Nie chcę cię martwić, ale wybierają u nas ładne i zdrowe dziewczęta do domów publicznych, do obsługi żołnierzy. Nie wiem co gorsze: śmierć czy takie życie. Tym razem udało mi się znowu: schowałam się w umywalni. Co będzie jutro?"

Wieczorem tego samego dnia, z grupą najbliższych kolegów przysiliśmy na rewir szpitalny, do Wojtka, który prowadził



kancelarię szpitalną. Wiedział już o co chodzi i rozmowa była krótka:

— Ile masz trupów na składzie? — zapytałem.

— Osiemnaście! — odpowiedział.

— Dawaj, wymienimy je na żywych.

W pobliskim baraku uwięzieni byli ci, których wybrano w dzisiejszej selekcji. Do gazu, na śmierć miano ich zawieźć jutro. Pilnowało ich dwóch wartowników SS.

Pół litra wódki i kilka paczek papierosów wystarczyło, aby zapewnić sobie ich kooperację. Wiedzieli o co chodzi i niewiele ryzykowali.

Cicho przenieśliśmy osiemnastu zmarłych, przysypanych chlorkiem, z kostnicy do baraku, by wymienić ich na żywych. Ich martwe ciała posłużyć miały dla odkupienia i ocalenia osiemnastu żywych dusz. Hitlerowcom szło tylko o to, aby buchalteria się zgadzała. Krematorium i tak przyjmie i odnotuje te trupy jakby odnotowało żywych, których trzeba przeprowadzić przez komorę gazową. Nikt nie będzie sprawdzał, kiedy umarli.

— Oświęcim to hurtowy interes i nie ma czasu na patyczkowanie się drobiazgami. Operację należało jednak przeprowadzić szybko i cicho. Nie było czasu na przebieranie. Pierwszych osiemnastu siedzących przy drzwiach baraku, pod ręką, poszło "jak leci", nim ktokolwiek się zorientował o co chodzi. Na ich miejsce wrzuciliśmy do środka osiemnastu zmarłych z trupiarni, których Wojtek przechowywał właśnie na ten cel. Nie po raz pierwszy w Oświęcimiu i nie po raz ostatni umarli ratowali życie współwięźniów.

Wartownicy odkorkowali butelkę i chowali po kieszeniach papierosy. Rozeszliśmy się cicho po barakach pozostawiając w zamknięciu tych, którzy swoim życiem jutro zapłacą za nas rachunek. Nie mogliśmy nic dla nich zrobić. Smutne — ale trupów mieliśmy na składzie za mało.

JERZY ROS



W ŚWIECIE NAUKI — W ŚWIECIE NAUKI —

## TAJNE SCHODY IFIGENII

Niespełna czterdzieści kilometrów na wschód od Aten leży niepokazane miasteczko Brauron. Niedawno rząd grecki wyznaczył środki na konserwację tamtejszej, leciwej cerkiewki, uznanej za cenny okaz bizantyjskiego budownictwa kościelnego. Nadzór nad pracami konserwacyjnymi poruczono najwybitniejszemu archeologowi greckiemu Papadimitriou, znanemu w kręgach naukowych kierownikowi wykopalisk na terenie Myken, cytadeli Agamemnona.

Uczony zabrał się do zadania z naukową drobiazgowością. Podczas sprawowania nadzoru nad renowacją cerkiewki, zainteresował się jednocześnie odległą przeszłością miasteczka i zgromadził wszystko, co na jego temat powiedziała literatura antyczna. Trzeba tu bowiem podnieść fakt, że Brauron to nie taka sobie zwykła miejscina, jak inne. Z jej nazwą spotykamy się w bogatym zbiorze mitów o Ifigenii i bogini Artemidzie, a Herodot poucza nas, że istniała tam adorowana przez Greczynki świątynia, poświęcona kultowi tejże bogini. Do tych wiadomości Arystofanes dorzuca enigmatyczną i mocno intrygującą uwagę. Mianowicie daje do zrozumienia, że w świątyni odbywały się jakieś obrzędy ku czci Artemidy o charakterze orgiastycznym.

Musimy w tym miejscu na chwilę odejść od naszego właściwego tematu i przypomnieć pokrótce tragiczne losy Ifigenii. Jest ona, jak wiadomo, bohaterką wielu dramatów, oper i poematów, a szczególnie tragedii Aischylosa, Sofoklesa i Eurypidesa. Otóż w jednej z wersji, bo jest ich aż kilka, wojska greckie, zgromadzone w beockiej Aulidzie, nie mogły dłużej czas pożeglować na Troję, ponieważ nie sprzyjały im wiatry. Wróżbita Kalchas, za-

pytany o przyczynę tego niepomyślnego stanu rzeczy, ujawnił, że dzieje się tak za sprawą Artemidy, rozgniewanej na Agamemnona za to, że upolował ulubioną jej łanię. Winowajca powinien przebrać boginię składając jej w ofierze życie ukochanej córki Ifigenii. Agamemnon, po długiej bolesnej rozterce wewnętrznej, postanowił dla dobra sprawy zdobyć się na tę potworną ofiarę. Pod pozorem, że pragnie zaślubić ją Achillesowi, sprwadził Ifigenię wraz z matką Klitajmestrą do Aulidy. Gdy obie niewiasty, uradowane i ubrane weselnie, przybyły na miejsce, straszliwa prawda wyszła na jaw. Ifigenię porwano i pozbawiono życia na ołtarzu nieubłaganej bogini. Tu zapewne tkwi najdawniejsza przyczyna krwawego dramatu Myken, kiedy to Klitajmestra wraz ze swoim kochankiem zamordowała powracającego z Troi Agamemnona. W Aulidzie znajdowała się świątynia Artemidy, której w dawnych okresach Grecji składano nawet ludzkie ofiary. Stąd zapewne wywodzi się mit o Ifigenii. Ciekawą rzeczą jest to, że archeolodzy znaleźli w ruinach świątyni ołtarz, na którym Agamemnon miał złożyć ofiarę z córki.

Jedna z wersji utrzymuje jednak, że Ifigenia wówczas nie zginęła, że Artemida zakryła ją obłokiem i przeniosła powietrzem na Taurydę (Krym), gdzie w tamtejszej świątyni powierzyła jej godność kapłanki. Funkcja nie była przyjemna, gdyż Ifigenia musiała okrutnej bogini składać w ofierze rozbitków, których fale morskie wyrzucały na wybrzeże półwyspu. Pewnego dnia wylądował w ten sposób syn Agamemnona Orestes i podzieliłby los innych nieszczęśliwów, gdyby Ifigenia w ostatniej chwili nie rozpoznała w nim swego brata. Rodzeństwo uciekło w końcu zabierając ze sobą posąg bogini. Ifigenia, jak głosi jedna z legend, stała się kapłanką świątyni w Brauron i tam podobno została pochowana. Dla wyjaśnienia późniejszych wypadków należy jeszcze dodać, że Brauron stał się ośrodkiem greckich festynów religijnych. Artemida czczona była między innymi jako patronka dziewczęstwa i co pięć lat dziewczynki w wieku od pięciu do dziesięciu lat, prowadzone przez matki i ubrane w szaty koloru szafranowego, szły w procesyjnym pochodzie do ołtarza, by oddać się pod opiekę bogini. Przy tej sposobności składały wota w postaci małych figurynec.

Papadimitriou, zasugerowany tymi faktami, postanowił zaryzykować i zabrać się do poszukiwań archeologicznych na terenie miasteczka. Wkłady były poważne, ale wyniki, jak się wkrótce okazało, przekroczyły wszelkie oczekiwania. Z gruzów i ruin wydobyto aż 6 tysięcy okazów najszlachetniejszej sztuki rzeźbiarskiej Grecji z V i VI wieku po Chryst., jedną z najbardziej oszalamiających kolekcji, jakie posiadają muzea wszystkich krajów świata. Składają się na nią posążki, przesłiczne wazy błyszczące błękitną polewą oraz płaskorzeźby, które kiedyś zdobiły świątynię. "Po raz pierwszy — pisze Papadimitriou z entuzjazmem — otrzymaliśmy pełny obraz życia prywatnego Ateńczyków, osobliwie kobiet". Podziw budzą szczególnie ujmujące wdziękiem i ciepłem posążki dzieci, pełne niewinności i słodyczy, wyrzeźbione wazliwym dłutem artysty. Zdołały one zapewne świątynię i stanowią wota składane przez rodziców. Chłopców, wyobrażonych w



Port rybacki w Swibnie, malowniczo położony w pobliżu ujścia Wisły do morza.



tych statuetkach, zwano "Niedźwiadkami". Ich obowiązkiem było przebrać się w skórę niedźwiedzia i wykonać przed ołtarzem tańiec rytualny, aby zapobiec zarazie, jaką groziła Artemida zesłać na Grecję za to, że pewne dzieci ateńskie zabiły poświęconego jej niedźwiadka.

Eurypides pisze, że w Brauron Ifigenia mieszkała w pobliżu "świętych schodów" i że grób jej stale był pokryty pięknie wyszywającymi tkaninami, ofiarowanymi przez kobiety bezpłodne. Z biegiem czasu archeolodzy greccy rozkopali całkowicie świątynię i natknęli się na sypialnię dziewczyn-kapłanek ozdobioną kolumnadą w stylu doryckim. W ruinach znaleziono setki zwierciadeł, czar, pierścieni, waz i statuetek. Zachowała się nawet księga ofiar, z której wyczytano, że wymienione przedmioty składały w podzięce będące przy nadziei.

Największe poruszenie wywołało jednak odkrycie "świętych schodów". Z ich położenia wynika, że stanowiły one tajne przejście ze świątyni do pobliskich zabudowań. Przypuszczalnie Eurypides odwiedził świątynię i wtedy pokazało mu całą przyschodach, w której według podań ludowych miała zamieszkać Ifigenia. Mamy tu zatem jeden z owych frapujących wypadków, kiedy archeologia w zdumiewający sposób spotyka się z legendą i literaturą.

Odkrycie w Brauron świadczy z całą pewnością, że dla archeologii nie minęły jeszcze dobre czasy wielkich odkryć. W szarych, mrówczych dniach poszukiwań wykopaliskowych jawią się one nagle i niby race wybuchają jaskrawym światłem. Szczególnie ziemie dawnej Hellady kryją mnóstwo niespodzianek pod tym względem, chociaż ich ujawnienie nie zawsze zawdzięczamy wiedzy i przedsiębiorczości archeologów. Często odkrywca bywa zwykły, bezosobowy przypadek i łut szczęścia.

Oto w muzeum w Delfach znajduje się słynny brązowy posąg woźnicy. Ongiś stał on na rydwanie trzymając na wodzy parę cugowych rumaków. Ale z całej tej rzeźby pozostał tylko on sam, prosty jak kolumna, wystylizowany i sztywny, a jednak dziwnie żywy i pełen siły wyrazu. Posąg należy do archaicznego okresu rzeźbiarstwa greckiego, wyprzedzającego bezpośrednio realizm Fidiasza, i tej właśnie okoliczności należy przypisać, że nie odniósł uszczerbku, że przetrwał do naszych czasów. Przypuszczalnie jakiś kapłan, który holdował nowszym prądom w sztuce, uważał go za zbyt staromodny i kazał odstawić do lamusa. Znaleziono go, osłoniętego przez grube mury piwniczne, wśród gruzowisk delfickich ruin. Dzieła sztuki, zdobiące sanktuarium płądowali kolejno Sulla, Nero, Konstantyn Wielki i Teodozjusz II, ale on, będąc niepokątnym, bezużytecznym gratem odstawionym do piwnicy, uniknął losu arcydzieł Fidiasza, Praksytelesa i Polignota.

Prawdziwe żniwo archeologiczne przeżył pięć lat temu port ateński Pireus. Na jednej z ruchliwych ulic dwóch robotników pracowało świdrem pneumatycznym, by dostać się do zatkanego przewodu kanałowego. Gdy rozkruszyli warstwę asfaltu i betonu, zapadła się naraz ziemia, z której wysunęły się dwie ręce ludzkie, pokryte zieloną patyną i jakby błagające o litość. Przerażeni robotnicy porzucili stanowisko i zawiadomili przełożonych o wykryciu jakiegoś trupa. Zaalarmowani archeolodzy stwierdzili, że odkryto jeden z magazynów portowych, pełen najwspanialszych posągów z marmuru i brązu. Wśród tych niebywałych skarbów było marmurowe popiersie Hermesa z głową pełną zadumy i szlachetności, aktorskie maski z brązu, młodzieńiec wielkości naturalnej, którego ręce tak przestraszyły robotników, ale przede wszystkim ogromna figura Ateny z marmuru we wspaniałym hełmie z grzywą, dzieło z IV wieku po Chryst. dłuta Kefiso-

## Odkrycie nowego rodzaju tworów kosmicznych

Niedawno grupa astronomów angielskich dokonała bardzo interesującego i niewątpliwie brzemienne w skutki odkrycia — kilku obiektów, stanowiących nowy, dotychczas nieznaną typ tworów kosmicznych. Nie są to ani gwiazdy, ani mgławice, ani galaktyki w dotychczasowym tych słów znaczeniu. Są to formacje najjaśniejsze wśród wszystkich dotychczas nam znanych, znacznie jaśniejsze nawet niż galaktyki, ale o znacznie od nich mniejszej masie. Leżą daleko poza naszą Galaktyką, niektóre już na granicy zasięgu naszych teleskopów. Należą więc do świata galaktyk, lecz składają się — jeśli nie wyłącznie, to głównie — z gazów, galaktyki zaś — jak wiemy — głównie z gwiazd.

Historia tego odkrycia, będąca pięknym przykładem współpracy radioastronomów z astronomami — w zwykłym tego słowa znaczeniu, dobrze wyjaśni nam jego sens i znaczenie.

Obserwacje radio - astronomiczne dają nam wprawdzie możliwości wyznaczenia położenia danego radio-źródła na niebie, jednak dokładność tego wyznaczenia jest na ogół niska; nie zawsze więc udaje nam się zidentyfikować dane źródło z odpowiednią galaktyką lub mgławicą, których obrazy otrzymujemy na zdjęciu fotograficznym wykonanym przez odpowiednio silny teleskop. Mamy więc wiele źródeł nie zidentyfikowanych, a nawet zidentyfikowanych mylnie. Do nich też należało pięć źródeł zaobserwowanych przed kilku laty przez grupę astronomów z Cambridge (Anglia) i umieszczonych w ich słynnym katalogu radio-źródeł pod odpowiednimi numerami. Ponieważ normalne gwiazdy wysyłają bardzo niewiele promieniowania radiowego (tzn. o długości fali rzędu centymetrów lub metrów), a w miejscu tych radio-źródeł żadnych jaśniejszych gwiazd nie wykryto, powstało przekonanie, że są nimi bądź niewidzialne galaktyki, bądź mgławice znajdujące się w naszej Galaktyce.

Wykonano wtedy kilka zdjęć odpowiednich okolic nieba przez największy 5-metrowy teleskop w obserwatorium na Mount Palomar; odkryto wtedy w tych miejscach obiekty o wyglądzie gwiazd i dlatego nazwano te pięć radio-źródeł obiektami "quasi-gwiazdowymi". Ich identyfikacja nie nastęrczała wątpliwości m. in. i dlatego, że udało się radioastronomom ustalić bardzo dokładnie ich położenie, obserwowano bowiem również zakrycie tych radio-źródeł przez Księżyc. Takie zakrycia dają nam możliwość bardzo dokładnego określenia momentu czasu — kiedy to następuje, a zatem i położenia zakrywanego obiektu.

Astronomowie nie chcieli jednak pogodzić się z myślą, że są to gwiazdy, m. in. i dlatego, że to by przeczyło wszystkim istniejącym teoriom o budowie gwiazd i wynikającym z tych teorii możliwościom wysyłania tak obfitego promieniowania radiowego.

Wtedy zaczęto fotografować widma tych obiektów lub jednego z uczniów Praksytelesa.

Jakim cudem zgromadziły się te arcydzieła w magazynie portowym? Niewątpliwie czekały one na załadowanie na okręt i wywiezienie. Archeolodzy podejrzewają, że stanowiły część olbrzymiego łupu rzymskiego dyktatora Sulli, który niemilosiernie ogałcał Grecję z dzieł sztuki. Z jakichś nieznanych powodów nie doszło do wysyłki i w ten sposób przeszło dwa tysiące lat później dokonano jednego z największych odkryć w dziejach archeologii greckiej.

ZENON KOSIDOWSKI

"quasi gwiazd". J. L. Greenstein i G. Münch uzyskali pierwsze widmo (po siedmiogodzinnej ekspozycji) i przekonali się, że składa się ono głównie z jasnych linii, co świadczyło, że badany twór jest obiektem złożonym z silnie rozrzedzonych gazów; jest zatem czymś w rodzaju mgławic gazowych występujących często wewnątrz naszej Galaktyki, mającym jednak rozmiary znacznie przewyższające przeciętne mgławice, raczej zbliżone do rozmiarów przeciętnej galaktyki. Wykryto przy tym znaczne przesunięcie wszystkich linii ku czerwieni, tak jak to obserwujemy we wszystkich galaktykach.

Z tego dało się wyznaczyć odległości każdego z tych pięciu obiektów, z tego zaś — znając jasność obserwowaną — dało się wyznaczyć to, co astronom nazywa jasnością absolutną, a co w przekładzie na zwyczajny język oznacza ilość energii promienistej wysyłanej przez dane ciało. Okazało się przy tym, że owe "quasi-gwiazdy" świecą sto razy silniej niż cała nasza Galaktyka! Tymczasem ich rozmiary są znacznie — pięćdziesiąt do sto razy mniejsze niż przeciętnej galaktyki. Także ich masy, oszacowane na podstawie znajomości mechanizmu promieniowania radiowego i widzialnego w gazach zjonizowanych, są bardzo nieznaczne, kilkadziesiąt może nawet kilkaset razy mniejsze od masy przeciętnej galaktyki. Natomiast muszą w nich panować niezwykle wysokie temperatury — około 10 tysięcy stopni lub jeszcze wyższe.

Odkryto też, że jedna z owych "quasi-gwiazd" wykazuje wyraźne wahania jasności, odbywające się w sposób dość nieregularny, o amplitudzie wynoszącej około 30 proc. światła wysyłanego. Ta sprawa pozostaje kompletną zagadką. Znamy wprawdzie mechanizmy wywołujące zmienność jasności pojedynczych gwiazd, żaden jednak z nich nie może być odpowiedzialny za zmienność olbrzymiego skupienia materii o rozmiarach zbliżonych do galaktyki. Musi to być jeden mechanizm, i naczaję bowiem zmienności wielu różnych obszarów będą się wzajemnie "znosiły", jak w każdym zjawisku statystycznym — gdzie się "sumuje" niezależne od siebie fluktuacje jakiejś wielkości.

Z drugiej jednak strony nie sposób wyobrazić sobie jakiegoś innego procesu, który wywoływałby jednoczesne zmiany w całym tworze o rozmiarach kilku tysięcy lat świetlnych, chociażby dlatego, że wszelkie impulsy mechaniczne, czy świetlne, nie mogą wędrować szybciej niż prędkość światła. Na to, by jednak część owej "quasi gwiazdy" przekazała jakiś impuls części innej — trzeba wiele tysięcy lat!

Owo odkrycie zawiera wiele jeszcze innych zagadek, które mają charakter bardziej szczegółowy i "zawodowy" i dlatego o nich tu nie mówimy.

Spójrzmy jeszcze na nie od strony spraw kosmologii. Odkryte "quasi-gwiazdy", które słuszniej byłoby nazwać galaktykami gazowymi, są niewątpliwie formą krótkotrwałą. Świadczy o tym ich niezmiernie wysoka wydajność energii na jednostkę masy, w wyniku czego proces promieniowania takiej galaktyki w tym "tempie" nie może potrwać długo, najwyżej kilka milionów lat. Zważywszy, że ziemia liczy sobie kilka miliardów lat, ów milion jest okresem czasu niezmiernie krótkim, w skali oczywiście zdarzeń kosmicznych. O krótkotrwałości życia tego typu tworów kosmicznych świadczy też i to, że odkryto ich zaledwie kilka na kilka miliardów znanych nam w naszym otoczeniu galaktyk.

Prawdopodobieństwo odkrycia czegoś w przestrzeni jest przecież proporcjonalne do





# Spotkanie w Hotelu Angielskim

W wielu warszawskich mieszkaniach wśród starych papierów znaleźć można na pewno niejedną interesującą dokument dotyczący przeszłości stolicy. Taki np. jak ta relacja, której fragmenty cytujemy poniżej. Spisana ona została 150 lat temu przez Tomasza Gąsiorowskiego — właściciela warszawskiego Hotelu Angielskiego.

"Gdy w roku 1812, w bardzo pięknej jesieni, która zwykle w Polsce bywała w końcu października, między 10 a 11 godziną wielki rój pszczoł w moim ogród-

*czasu życia danego typu obiektów. Znaczy to, że w przestrzeni międzygalaktycznej w tej chwili rodzą się jakieś nowe, niezmiernie szybko ewoluujące twory, które wkrótce już zamienią się w co innego (czego my jeszcze nie znamy); będą to może pojedyncze galaktyki o bardzo małej masie, co wydaje się w tej chwili najprawdopodobniejsze. Znamy bowiem obok galaktyk normalnych, typu naszej galaktyki, wiele galaktyk karłowatych, o których jednak niewiele się wie i mówi dlatego, że ze względu na swoją niską jasność są one na ogół trudne do wykrycia.*

*Kto wie, czy te właśnie galaktyki nie stanowią typowego zaludnienia wszechświata, a nie galaktyki, które dziś traktujemy jako normalne, bo znamy ich kilka miliardów, podczas gdy galaktyk karłowatych znamy tylko kilka.*

*Tak czy inaczej przedstawione tu odkrycie jest jeszcze jednym i może najsilniejszym argumentem przeciwko hipotezom o "narodzinach" wszechświata, które tu pokrótce streszczę. W latach dwudziestych naszego stulecia powstało kilka hipotez, które obecnie obserwowane zjawisko "ucieczki" galaktyk i wiele innych traktowały jako ciąg dalszy pewnego wyjątkowego zdarzenia, wybuchu pierwotnego wszechświata — zredukowanego do rozmiarów jednej jakiejś "nadgwiazdy", czy "jądra pierwotnego".*

*W tym względzie wszystkie te hipotezy zgadzały się z sobą i dlatego objęto je wspólną nazwą "ewolucyjne", bo wynikało z nich, że obecnie świat również ewoluuje, jednak w sposób jednokierunkowy i nieodwracalny (w tym sensie w jakim to słowo używają lekarze). Mówiąc w skrócie, wszystko w nim się "starzeje" i niemożliwe jest powstanie nowych, dużych obiektów kosmicznych, ponieważ pierwotnie dość gęsta materia, wypełniająca wszechświat (w chwili "narodzin"), obecnie stała się niezmiernie rzadka. I że końcowym etapem ewolucji wszechświata musi być jego fizyko-chemiczna śmierć: — ustanie wszelkich procesów i przemian.*

*Przedstawione tu odkrycie jest oczywiście zaprzeczeniem tych hipotez. Jeśli więc ryzykować w dalszym ciągu porównanie z życiem ludzkim, słuszniejsze byłoby stwierdzenie, wynikające z tych odkryć, że wszechświat rodzi się każdego dnia i każdego dnia umiera. Pamiętajmy jednak, że wszelkie porównania są straszliwie niebezpieczne. Ale trudno bez nich się obejść.*

PROF. DR WŁODZIMIERZ ZONN

ku na drzewinie osiadł, przyjaciele moi i domownicy z tak rzadkiego w mieście i w tak późnej porze roku zdarzenia, wielkie i nieprzewidziane szczęście mi wróżyli.

Oto "w dniu 10 grudnia między 10 a 11 oficer ordynansowy Napoleona — Wąsowicz do mego mieszkania wszedł, chcąc odemnie dla Generała Caulaincourta mieszkanie wynająć. W tak krytycznych czasach, każdy utrzymujący hotel, z powodu uciążliwego kwaterunku, wojskowego do hotelu przyjąć sobie nie zyczył i w takim zdarzeniu mieszkania odmawiał, wymawiając się, iż cały dom zajęty".

Pan Gąsiorowski również wykręcał się jak mógł, w końcu jednak uległ i mieszkanie dla Caulaincourta znalazł. Zjawił się więc w hotelu najpierw adiutant generała — i zadziwił Gąsiorowskiego, polecając mu sprowadzić gubernatora Warszawy. Wydało się to Gąsiorowskiemu mocno niestosowne, aby oficer wzywał do siebie gubernatora, ale jeszcze bardziej się zdumiał, gdy zobaczył z jakim pośpiechem gubernator popędził do hotelu.

A wkrótce potem wpada hr. Wąsowicz i te słowa tylko do mnie wyrzekł:

— Już Caulaincourt przyjechał. Ja chcąc naprzeciw niego wyjść otworzyłem drzwi. Cóż ujrzałem? Napoleona w akksamitnej, zielonej, sobolami podszytej czamarze, złotymi potrzebami suto ozdobionej.

Pod nazwiskiem Caulaincourta powracał bowiem z Rosji, po utracie Wielkiej

Armii Cesarz Francuzów, a prawdziwy generał Caulaincourt — księżę Vicenzy występował w roli... swego własnego adiutanta.

W Hotelu Angielskim Napoleon zjadł obiad, odbył też konferencję z gubernatorem Warszawy. Gąsiorowski stał pod drzwiami, pilnując, aby nikt nie próbował przeskadać. Wreszcie:

"W kilka minut zrobił się znaczny ruch w pokojach Napoleona. Drzwi się otworzyły, Napoleon wyszedł, a za nim władze, ambasador, gubernator i inni. Było to po godzinie czwartej, światło się w pokojach już paliło. Caulaincourt przystąpiwszy do mnie, nieznacznie rzekł:

— Podaj Waćpan rachunek, a jeden ze świty mu go zapłaci.

Wziąłem lichtarz z potrójnym światłem i prowadziłem wychodzącego Napoleona do sanek. Przed sankami stanąwszy Caulaincourt wzięwszy Go pod prawą rękę, a ja pod lewą, usadziliśmy Go do sanek, a Rustan tymczasem sadowił się na koźle. Caulaincourt podawszy Napoleonowi worek z wilków, w którym On nogi wsadził i dobrze je dokoła otuliwszy, sam do Napoleona się przysiadł. Wtedy Napoleon zapytał Caulaincourta:

— Qui est cet homme?

— C'est le maitre de la maison — odpowiedział Caulaincourt.

— Qu'on lui donne 10 Napoleons — odparł Cesarz.

J. R.

## Boże Narodzenie na Pawiaku

### Wspomnienia więźnia Gestapo

(D. c. z nr 40)

Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem zostaliśmy przeniesieni na oddział V do celi mieszczącej się w dawnej synagodze. Cella ta była względnie obszerna i czysta. Prycz w niej nie było. Na podłodze leżała słoma, napół zgnięta, na której spaliśmy w nocy, siedzieli i spożywali posiłki w dzień. Ani ławek, ani stołków, tylko stary stół i tradycyjna parasza. Panowały tu względny spokój i cisza. W poprzedniej celi cały Boży dzień i w nocy słychać było warkot silników samochodowych, wrzaski nie zawsze trzeźwych hitlerowców i brzęk broni. Przez zakurzone okna, umieszczone na poziomie chodnika podwórza, widzieliśmy nieraz więźniów, ubranych w worki papierowe o skropowanych rękach i zagipsowanych ustach. Był to epokowy wynalazek kulturalnych Niemców. Tanim kosztem osiągało się przymusowe milczenie. Liczny oddział żandarmów pilnował skazańców. Obok stały opancerzone samochody. Lufy karabinów maszynowych skierowane były na obywateli więźniów.

Byliśmy zadowoleni, że nie będziemy świadkami okrucieństw gestapowskich i że odseparowano nas od kryminalistów. Dzień rozpoczął się jak dawniej pobudką o godz. 6.

Przez małe, zabrudzone okna wpadały pierwsze blaski dzienne. Było jeszcze ciemno i paliło się światło elektryczne. Po apelu prowadzono nas do ubikacji. Dyżurni porządkowali celę i wyносили paraszę. Wkrótce potem zaczynało wydawać tzw. kawę, letnią, nieosłodzoną i chleb. Celę ponownie zamykano.

Nie zważając na zakaz stawialiśmy do modlitwy. Miała tu ona specyficznie mistyczny charakter. Czas od kawy do obiadu upływał na nerwowym oczekiwaniu. Ucho łożyło najmniejszy szelest na korytarzu, gdyż właśnie wtedy wywoływano na badania do Gestapo i wywożono skazańców.

Po obiedzie następowało odprężenie nerwowe. Do wieczora był spokój. O 6-tej wydawano lurę zwaną zupą, o 7-ej odbywał się wieczorny apel i gaszono światło. Nocne godziny, przeznaczone normalnie na wypocinek, nie były nim na Pawiaku. W ciszy zimowej nocy, przerywanej jękami towarzyszy niedoli, wracało się myślami do minionych badań, ważyło każde wypowiedziane słowo, podważające zarzuty oskarżenia i przygotowywało taktykę dalszego postępowania. Właśnie te długie noce dały mi możliwość ustalenia z synem linii obrony wobec majora von Stuelenberg i innych gestapowców. Liczyliśmy, że majora może każdej chwili zastąpić



inny esesman. Po takich naradach upragniony sen nie zawsze nadchodził. Ciało domagało się wypoczynku, lecz duch sprzeciwiał się temu.

Z dnia na dzień zmniejszało się grono naszych przygodnych przyjaciół. Ubywali ludzie wartościowi, rycerze niezłomni w walce z okupantem. Stanowiło to zarazem ostrzeżenie dla nas. Śmierć jednak, zagładająca nam stale w oczy, nabrała innych wartości i cech. Żyliśmy w atmosferze codziennych, potęgających się wciąż rozstrzeliwań. Nie wywoływano już jednostek lecz zabierano grupami po 50 - 60 osób. Przywykliśmy do myśli, że śmierć może zahaczyć łąda chwila i nas i przyjęliśmy jako dewizę: "śmierć nie jest daremna, kiedy wybiera ją czyn; jest dobra, gdy służy przyszłości."

Ale przyjmując tę makabryczną filozofię nie mogłem się oprzeć zgrozie na myśl co się dzieje w sercu człowieka stojącego przed plutonem egzekucyjnym. Myśl tę przenosiłem mimo woli na mego ukochanego jedynaka. Podziwiałem jego spokój duchowy. Nie zapierał się, że chce zachować życie, ale mówił:

— Każdy żołnierz chce powrócić z wojny z odznaczeniami za waleczność ale nie każdemu los sprzyja. Wielu pozostaje na polu chwały, a moglię ich zdobią skromne krzyże drewniane. Jeśli mi się uda wyjść stąd to jakim wygrał główną wygraną na bilet tramwajowy. Dokrownie zaciągnąłem się do pracy w AK. Wiedziałem na co idę. Przygotowany jestem na wszystko i śmierci się nie boję. Mam tę satysfakcję, że już wielu Niemców zginęło z mojej ręki. Kaci nie zobaczą mnie złamanego w chwili śmierci.

Ogarniała mnie rozpacz na myśl, że mogę go stracić. Kochali go ludzie nawet obcy; nawet dozorczy na Pawiaku odnosili się do niego inaczej. Pamiętam pewien fakt, który szczególnie zdumiał współwięźniów.

Istniał surowy zakaz palenia papierosów. Przyłapanego na paleniu nielitościwie bito. Otóż pewnego wieczoru, już po apelu, wpadł do celi gestapowiec. W powietrzu unosił się dym tytoniowy. Więźniowie wyprężyli się, stanęli na baczność. Gestapowiec zapytał kto palił i skąd wziął papierosy. Nikt nie odpowiedział. Groziło to ukaraniem wszystkich więźniów w celi. Wtedy wystąpił syn.

— To ja paliłem — powiedział. — A papierosy znalazłem na korytarzu.

Gestapowiec podniósł rękę, zdawało się, że za chwilę uderzy. Ale ograniczył się do wymyślenia.

— Na przyszły raz nie ujdzie ci to na sucho, ty polska świniol!

Kiedy wyszedł syn stał się przedmiotem cichej owacji. Dodać muszę, że nie palił w ogóle.

W ciągu dwóch tygodni poprzedzających Boże Narodzenie skład naszej celi bardzo się zmienił. Coraz mniej było inteligencji, dostawała "w czape" w licznych egzekucjach. W zamian przybywali ludzie prości: robotnicy, sklepikarze, drobni urzędnicy i chłopcy, przeważnie z łowickiego. W ostatnim tygodniu r. 1943 przewinęło się przez naszą celę blisko 200 chłopów. Zbici w straszliwy sposób, zakrwawieni, oskarżeni o rzekomy udział w partyzancie lub udzielanie pomocy partyzantom — niedługo przebywali wśród nas. Tracono ich na Starym Mieście w grupach po 50 - 60 osób. Nieufni, obojętni, stłoczeni w rogu celi, czekali cierpliwie na wynik śledztwa. Czasem tylko słyszało się głębokie westchnienie lub urywek modlitwy. Czy domyślali się, przeczuwali lub wiedzieli co ich czeka?

Nadeszło Boże Narodzenie. Przełamaliśmy się z synem opłatkiem, uścisnęliśmy dłonie współtowarzyszy, dzieląc się zawartością paczek, otrzymanych z domu z tymi, którzy nie dostali w tym dniu żadnej przesyłki od bliskich. Administracja więzienna zgotowała nam tego dnia miłą niespodziankę. Pozosta- wiono światło na całą noc i pozwolono śpie-

wać pieśni religijne i koledy. Złagodzenie przepisów więziennych spowodowane zostało, jak się później okazało, nieobecnością większej liczby gestapowców, którzy odjechali do Rzeszy na urlop świąteczny. Pozostała część załogi, już od rana podchmielona, obawiała się, że nie uda się jej utrzymać rygoru i dyscypliny w czasie świąt — stąd złagodzenie reżimu więziennego.

Śpiewaliśmy koledy na cały głos zagłuszając Niemców, którzy zupełnie już pijani witali Boże Narodzenie wrzaskiem swego "Tennenbaumu" i strzelaniem z pistoletów. Nie obeszło się bez ofiar. W sąsiedniej celi jeden z więźniów nieopatrznie zbliżył się do okna. Ranny śmiertelnie w głowę zabląkaną kulą wkrótce umarł. Naprawdę wolano dyżurnego strażnika. Krzyki i walenie w drzwi nie odnosiły skutku. Dopiero nazajutrz ofiarę nocnych wiatów zabrano do prosektorium.

Tej nocy nie mogliśmy usnąć. Spędziliśmy ją na pogawędce wspominając lepsze, minione czasy, rodzinę, bliskich i przyjaciół. Chcąc opędzić ponure myśli układaliśmy plany na wypadek zwolnienia z więzienia. Były to plany nierealne, nieziszczalne.

W pierwszy dzień świąt zaszedł charakterystyczny wypadek. Nadszedł rozkaz zwolnienia P. Był to młody człowiek, przystojny i koleżeński, aczkolwiek trochę hałaśliwy i zarozumiały. Przebywał z nami trzy tygodnie ani chwili nie tracąc pogody ducha i dobrego humoru. Był pewien, że wkrótce zostanie zwolniony. Na skutek protekcji gubernatora warszawskiego, Fiszera, kolegi uniwersyteckiego ojca P., dostał on nominację na kierownika jednej z fabryk włókienniczych w Tomaszowie Mazowieckim. Przy współudziale Niemca, członka zarządu fabryki, załadował dwa wagony tkaninami i sprzedał z dużym zyskiem w Warszawie. Interes się udał, trzeba go było oblać. Wspólnicy udali się do jednej z luksusowych knajp. Kiedy szumiało już im dobrze w głowach doszło do nieporozumienia na tle podziału zysku. W wyniku awantury obydwoj zostali aresztowani. Niemiec zwałił winę na Polaka, P. dostał się do więzienia. Groziło mu co najmniej skierowanie do obozu koncentracyjnego, ale wstawiennictwo gubernatora zrobiło swoje. P. stracił intratną posadę i musiał na dłuższy czas opuścić Warszawę.

Nazajutrz jeden z więźniów w czasie rozdawania kawy doręczył synowi gryps. Żona donosiła, że czynione przez nią starania mają szanse powodzenia i że spodziewa się szybkiego zwolnienia nas z więzienia. Treść grypsu podniosła nas na duchu. Dowiedziałem się z niego przede wszystkim, że żona przebywa na wolności — stanowiło to dla mnie dużą ulgę. Jaką drogą dotarł do nas gryps? Dowiedziałem się o tym znacznie później. Jedną z koleżanek uniwersyteckich syna, łączniczka AK, skłoniła za dużym wynagrodzeniem strażniczkę oddziału kobiecego na Pawiaku do przyjmowania grypsów. Trafiały one potem do więźniarki dentystki, pracującej w szpitalu. Ta z niezwykłym poświęceniem zorganizowała konspiracyjną komórkę, za pośrednictwem której rozprawiała listy i wysyłała odpowiedzi na miasto, zaopatrując ponadto więźniów w lekarstwa i papierosy. Trwało to do końca r. 1944, dopóki w ubraniu jednego ze straconych nie znaleziono grypsu i lekarstw, pochodzących z przychodni dentystycznej. Dentystka badana i bita w śledztwie nie przyznała się do winy. Dzięki umiejętnej obronie udało się jej nie tylko zachować życie lecz wrócić też do pracy.

Święta się skończyły. Gestapowcy wrócili z urlopu. I jakby chcąc powetować stracony czas przystąpili do masowych egzekucji publicznych. Zwożono w dzień i w nocy nowe ofiary. W naszej celi zrobił się niesamowity tłok. Już bez żadnej formalności i śledztwa zabierano dwa razy dziennie więźniów przeznaczonych na stracenie. Zdarzały się wypadki, że w pośpiechu myłono nazwiska. Zabrakło czasu, żeby transportować skazańców

za miasto, mordowano ich w pobliżu więzienia w ruinach domu przy ul. Zamenhofs. Terror wzrastał się z godziny na godzinę. Trwało to kilka miesięcy aż do zabicia szefa Gestapo gen. Kutschery.

W tym czasie, przez jakiegoś nieporozumienie, dostał się do naszej celi niejaki Kumand, słynny z przedwojennego procesu o nadużycia w fabryce masek gazowych w Toruniu, obojętnie folksdeutsch i gorliwy obrońca okupantów. Zwolniono go wkrótce. Przed odejściem wychwalał sprawiedliwość i wspaniałość myślności niemiecką.

Nadszedł moment, gdy zabrakło materiału ludzkiego do jatek niemieckich. Zaludnienie naszej celi spadło do 25 osób. Gestapowcy zajęli się tymi, którzy pozostali przy życiu. Badania przeprowadzano teraz również w gmachu więziennym. Do naszej celi dochodziły rozpaczliwe krzyki torturowanych. Metody bicia były bardzo urozmaicone. Przeważnie używano bykowców, rur gumowych, drutu kolczastego oprawionego w cienką skórę, a niekiedy zwykłych kijów, pałek i templei od karabinów. Stosowano też tzw. młynek. Badanemu wiązano ręce i nogi i pomiędzy wiązania przewlekano długi kij. Potem umieszczano go na podwyższeniu, przeważnie na dwóch krzesłach i mocno zaciągano wiązania, co pozwalało obracać katowanego i bić na przemian w boki, w przód i w tył.

Na tym kończymy druk fragmentów wspomnień więźnia Gestapo. Wspomnienia te ukaza się niezadługo w wydaniu książkowym.

Redakcja

## "Pinturas Lasota"

WYKONUJEMY PRACE MALARSKIE KOŚCIOŁÓW I KOLEGIÓW W INTERIORZE STANU.

STEFAN J. LASOTA

Rua Júlia da Costa, 1.171

CURITIBA — PARANA



Pałac w Wilanowie, rezydencja króla Jana III, po odnowieniu przedstawia się okazale. Na zdjęciu — fragment środkowego skrzydła pałacu.





# Nabywca majątków ziemskich

Monteiro Lobato

Gorszej fazendy, niż Espigão nie było chyba nigdzie. Zrujnowała już trzech właścicieli, mówiło to samo za siebie, taka już była. Ostatni właściciel, niejaki David Moreira de Souza, kupił ją na licytacji w przekonaniu, że robi kokosowy interes.

Plantacją kawy były gołe patyki, chłostane gradem, ścinane przymrozkami, rodzące co drugi rok i to lichy.

Pastwiska zachwaszczone, zarośnięte, pokryte paprocią, dawały świetne schronienie termitom i kleszczom, rojącym się w kępach strzelistych traw. Bydła, które się tam dostało, stawało się od razu szkieletem, było upstrzone wrzodami, smutne i zbolale, że aż strach na nie patrzeć.

Krzaki, które wyrosły na miejscu dziewiczego lasu, zdradzały, iż teren podlega posuchom. Na takim gruncie trawa rosła kępkami, nieśmiało i chorobliwie. Trzcina cukrowa *cayenna* puszczała cienkie pędy, badyle, które przechodziły nietknięte przez walce młyna cukrowego.

Konie parszywiały. Świnie, jeżeli nie tknęła ich zaraza, stawały się chudsze, niż przysłowione krowy egipskie.

Dokoła panowały wszechwładnie mrówki *sauva*, zajęte dniem i nocą ścinaniem roślinności. W październiku niebo pokrywało się chmurami tych owadów, zajętych godami miłosnymi.

Drogi były zapuszczone, płoty poprzewracane, zabudowania dla służby zaniedbane. Nawet w domu gospodarza panował nieporządek: tynki popękane, podłogi przegniłe, okna bez szyb, sprzęty poprzetręcane, w ścianach dziury. Wszystko było dotknięte zębem zniszczenia.

W tych warunkach właściciel fazendy, przedwcześnie postarzał się wskutek nieustannych niepowodzeń, toczony niezaspokojoną chciwością, pozbawiony nadziei poprawy losu, skrobał się ze sto razy dziennie w skołtunioną głowę.

Zona jego, biedna dona Izaura, zagubivszy zażywność sił, dorobiła się zmarszczek wokół oczu i mnóstwa piegów.

Syn, Zico, nie udał się rodzicom. Wstawał zwykle o dziesiątej, guzdrał się do jedenastej, a resztę dnia poświęcał na zaloty.

Prócz niego była jeszcze Zilda, siedemnastolatka, ładna, ale nadzwyczaj sentymentalna dziewczyna, wychowana na romansach Escricha i marząca o hiszpańskich miłościach.

Stary Moreira myślał, myślał, aż wreszcie postanowił pozbyć się przeklętej fazendy. Nie było jednak łatwo znaleźć odpowiedniego nabywcę. W wyniku ponętnych ogłoszeń zjawilo się w Espigão kilku reflektantów. Wszyscy jednak kręcili nosem i do transakcji nie doszło.

— Za darmo było by jeszcze za drogo — mówili do siebie.

Moreira doszedł do przekonania, że trzeba użyć fortelu. Używał od sąsiadów krzaki *caéte*, *cambarás*, *unhas de vaca* i inne, rosnące zazwyczaj na żyznej glebie i poprzesał je na swój teren w miejscach, w których wpadały by w oko nabywcom. Pod krzewy kawowe rosnące opodal drogi kazał podłożyć nawóz, aby swym bujnym wyglądem zakryły resztę mizeroty. Tam, gdzie jaskrawe promienie słoneczne ukazywały ziemię ubogą, posadził bluszcz.

Pewnego dnia agent doniósł mu o nowym nabywcy:

— "Pokieruj nim umiejętnie, a na pewno da się nabrać. Nazywa się Pedro Trancoso, jest bardzo bogaty i bardzo młody, potrzebuje fazendy dla wypoczynku. Wszystko zależy od tego jak go przyjmiesz".

Moreira przygotował się do dzieła. Ostrzegł służbę, żeby każdy był na miejscu i wiedział co i kiedy powiedzieć. Nie było to po raz pierwszy i ludzie odpowiadać umieli na najbardziej podstępne pytania.

Zazwyczaj wywiązywał się następujący dialog:

— Bywają tu przymrozki?

— Rzadko i tylko podczas bardzo surowej zimy.

— Fasola rośnie?

— Jeszcze jak! Tego roku wysiałem pięć kwart, a zebrałem ponad sześćset kilogramów. I co za fasola!

— Bydło robaczywieje?

— Skądże! Zdarza się czasem coś takiego, ale to są wyjątki.

Lepszej okolicy do hodowli nie znajdzie ze świecą. Ani chwastów, ani trzciny. Niestety, nasz pan nie może już prowadzić gospodar-

stwa. Nie ma pieniędzy. Gdyby dać mu odpowiednie środki to by przerobił fazendę na cudo.

W przeddzień przybycia gościa odbyła się narada. Cała rodzina była pełna nadziei i radości.

— Coś mi mówi, że tym razem będzie chleb z tej mąki — powiedział synalek i oświadczył, że po sprzedaży fazendy wystarczą mu trzy *konta*, żeby się urządzić.

— Jak się chcesz urządzić? — spytał ojciec.

— Chcę otworzyć sklep kolonialny w Volta Redonda.

— W Volta Redonda? Też masz pomysły! Żeby sprzedawać na kredyt rodzinie Tudinhi?

Chłopak jeżeli się nie zarumienił to jednak zamilkł. Miał powody.

Zona pragnęła kupić dom w mieście. Od dłuższego czasu miała na oku pewien dom jak się patrzy — tani i kompletnie urządzony. Córczka zażądała pianina i paki książek Escricha.

Tej nocy wszyscy usnęli uszczęśliwieni, a następnego dnia posłano do miasteczka po masło, ser i ciasteczka.

— Szkoda pieniędzy na masło — powiedziała dona Izaura. — Kosztuje trzy milrejsy. Lepiej kupić sztukę materiału bawełnianego, potrzebnego mi od dawna.

— Trzeba, kochanie. Czasem nic nie znaczący drobiazg ułatwi ubicie interesu. Masło w tym wypadku działa jak smar, a kto smaruje ten jedzie.

Zanim nadeszły zakupy dona Izaura zabrała się do zamiatania, odkurzania, kazała przygotować pokój gościnny, zabić kilka kurczaków i kulawe prosię, zaprawiła palmito na pierożki i zaczęła już je zawiązać kiedy...

— Jedzie, jedzie!... — zawołał Moreira, który usadowił się od rana w oknie i lustrował starą lornetką drogę.

— Młody... — informował małżonkę, — dobrze ubrany, na głowie ma panamę, podobny do Chico Canhambora...

Gość wreszcie nadjechał, zsiadł z konia, podał wizytówkę: Pedro Trancoso de Carvalhães Fagundes. Dobrze się prezentował: mina jakby siedział na kupie pieniędzy. Wymowę miał ładną, ładniejszą, niż wszyscy, którzy bywali dotychczas na fazendzie.

Opowiedział zaraz mnóstwo rzeczy, swobodnie, jak człowiek oblatany po świecie: o podróży, przygodach, malpce, którą widział na gałęzi drzewa *embaúva*. Kiedy Moreira przeszedł z gościem do saloniku Zico przysunął ucho do drzwi.

— Zilda, on jest jeszcze kawalerem.

Dziewczyna położyła na stół zastawę i znikła. W pół godziny później ukazała się w najlepszej sukience, policzki miała urozowane. Gdyby ktoś wszedł o tej porze do kaplicy domowej na fazendzie ujrzalby świeżo zapaloną świecę przed ołtarzem św. Antoniego i brak kilku płatków czerwonej róży papierowej na ołtarzu.

Na wsi karmin i ożenek biorą swój początek z kaplicy domowej.

Gość zabierał głos na tematy rolnicze:

— Canastrão to rasa już zdziczała i przestarzała. Jestem zwolennikiem Poland Chine. Large Black też nie jest najgorsza. Ale Poland bije wszystkie inne na głowę!

Moreira, nie obeznany z tematem, znający tylko chude świnie najgorszego gatunku, chrząkające stale dokoła domu, otwierał usta ze zdumienia.

— Co się tyczy hodowli bydła — ciągnął gość — to wydaje mi się, że wszyscy znawcy począwszy od Barreta, a kończąc na Prado są pomyleni. Ani selekcja, ani krzyżowanie. Jestem za sprowadzeniem do kraju wypróbowanych ras, jak: Polled Angus lub Red Lincoln. Brak pastwisk? Zrobi się. Posieje się lucernę, seradę. Assis powie mi pewnego razu...

Assis! Człowiek ten posiadał najwyższą wiedzę rolniczą. Był za pan brat z Prado, Barreto, Cotrimem. A co do ministrów... "Zwróciłem już uwagę ministrowi Bezerra..."

Nikt jeszcze podobnie dystygnowany, ustosunkowany i obznajomiony ze światem nie bywał na fazendzie Espigão. A gdzież nie gdzie! O Argentynie, Chicago opowiadał jakby był tam dopiero wczoraj. Wspaniale!

Usta Moreiry rozchylały się coraz bardziej, aż doszły do takiego rozwarcia, że fazendeiro mało nie wywichnął sobie szczęki. Na szczęście zawołano na obiad.



Gościa przedstawiono rodzinie. Zilda doczekała się komplementów, o których nigdy nie marzyła, wprawiło to jej serce w rozkoszne drżenie. Równie wielkie pochwały spotkały: kurę w rosole, *tutu* ze skwarkami, pierożki, a nawet wodę z glinianego dzbanka.

— W mieście, panie Moreira, taka czysta, kryształowa woda jest cenniejsza, niż najlepsze wino. Szczęśliwi, którzy ją piją.

Rodzina spojrziała po sobie; nikt nie podejrzewał, że posiada taki skarb i każdy mimo woli pociągnął jeden łyk, jakby uświadamiając sobie dopiero teraz wartość tego nektaru. Zico mlasnął nawet głośno językiem.

Dona Izaura nie potrafiła ukryć zadowolenia. Połowa pochwał wystarczyła by, aby wynagrodzić jej wysiłek kulinarny.

— Widzisz, Zico, — szepnęła — co to znaczy dobre wychowanie! Po kawie, nagrodzonej słowem "pyszna", Moreira zaprosił gościa na przejażdżkę konną po fazendzie.

— Wykluczone, drogi panie, nie dosiadam konia po posiłkach, gdyż cierpię wtedy na cephaelgia.

Zilda zarumieniła się. Rumieniła się zawsze kiedy nie rozumiała jakiegoś słowa.

— Nie ma się czego spieszyć, pojedziemy przed wieczorem. Wolę teraz spacerować po ogrodzie, robi to dobrze na trawienie.

Gdy Moreira z gościem poszli do ogrodu Zilda i Zico zagłębili się w słownik

— Jak się to pisze? — zapytał brat.

— Poszukaj na "c".

Z niemalym trudem odnaleźli poszukiwane słowo.

— Ból głowy! No, patrzcie, państwo! Taka prosta rzecz...

\* \* \*

Przed wieczorem Moreira zabrał gościa na objazd fazendy. Trancoso chwalił i podziwiał wszystko na co rzucił okiem ku zdumieniu fazendera, który po raz pierwszy słyszał pochwały fazendy. Nabywcy zrzędną na ogół, dostrzegając jedynie wady. Widząc rozpadlinę narzekają na erozję ziemi. Woda wydaje im się zawsze złej jakości. Jeśli dostrzegą jakieś bydło to zauważą w nim tylko wrzody. Trancoso był inny. Chwalił. Gdy Moreira wskazał mu jeden z przesadzonych krzaków, użytych do maskowania terenu, gość zachłysnął się:

— *Caquêra!* Ależ to rzadkość.

Koło *pau de alho* zdumienie jego dosięgło szczytu.

— Coś podobnego, to niesłychane! Nigdy nie przypuszczałem, że spotkam na tej okolicy podobny okaz! — zawołał chowając do portfela na pamiętkę jeden z liści.

W domu, rozmawiając z gospodynią, rozpląwał się w zachwytach.

— Przyznam się, że jakość tej ziemi przekroczyła najśmielsze moje nadzieje. Bo nawet *pau de alho!*

Dona Izaura spuściła oczy.

Miało to miejsce na werandzie. Była noc, rozbrzmiewająca cykaniem świerszczy, rechotaniem żab, noc o wywieżdżonym niebie i głębokim spokoju na ziemi. Wyciągnięty na leżaku Trancoso usiłował przetrząść odczułość, spowodowaną przejeżdżeniem, na teren poetyckiego uniesienia.

— Jakie rozmarzające jest to świr-świr świerszczy! Ubóstwiam gwiazdziste noce, sielankowe życie wiejskie takie zdrowe i szczęśliwe...

— Ale bardzo smutne — zauważyła Zilda.

— Czyżby? Lubi pani przenikliwy śpiew *cigarry* w upalny dzień? — powiedział, nadając głosowi wyraz słodczy. — Bo ja przepadam za tym śpiewem. Widocznie, ma pani w serduszkach coś co ją zasmuca.

Spostrzegając wzrastający sentymentalizm gościa, co mogło go uczynić skłonny do romantycznych wyznań, Moreira palnął się w czoło i zawołał: "Do licha, byłbym na śmierć zapomnieli!" Nie powiedział co zapomniał — było to zbyt cenne. Wyszedł, zostawiając młodych samych.

Dialog o posmaku miodoworożanym potoczył się dalej.

— Pan jest prawdziwym poetą! — zawołała Zilda.

— Któż nim nie jest, gdy ma gwiazdy nad sobą i jedną z nich koło siebie?

— Ach, pan nawet nie wie jaka jestem nieszczęśliwa.

Z piersi Trancoso wydobyło się westchnienie. Wzrok jego zwrócił się ku bladej poświacie Drogi Mlecznej.

— Miłość! Droga mleczna życia. Woń róż, mgła świtania. Kochać, nasłuchiwać gwiazd... Kochać, bowiem kto kocha wie co one mówią.

Była to lura nie wino. Mimo to nieprzywyktemu podniebieniu dziewczyny napój ten wydał się nektarem. Ogarnęło ją przyjemne oszołomienie. Pragnęła się odwzajemnić. Przeszukała w myśli najpiękniejszą powiedzonką. Znalazła *zwiądłą gałązkę*.

— To co pan powiedział, ach, jakby to pasowało jako napis na pocztówce z kwiatkami.

Zatrzymali się na tym. Kawa i placuszki prosto z patelni przerwały tę idylliczną scenę. Zilda stwierdziła, że oto urzeczywistnia się bajkowy Escrich. Dona Izaura cieszyła się na myśl o bogatym zamążpójściu córki. Moreira marzył, że pozbędzie się długów i że po sprzedaniu majątku będzie mógł żyć w dostatku nie robiąc. Zico zaś całą noc nie zmrużył oka, snując plany jak

zostanie bogatym kupcem i jak w końcu Tudinha odda mu rękę córki.

Jeden tylko Trancoso spał snem kamiennym bez marzeń.

Nazajutrz zwiędził resztę fazendy, plantację kawy i pastwiska, obejrzał bydło i zabudowania. Podczas, gdy trwał nadal w zachwycie Moreira, który uprzednio chciał zażądać 40 tysięcy za posiadłość, postanowił podnieść cenę. Po owym *pau de alho* podwyższył ją w myśli do 45 tysięcy, po oglądaniu bydła — do 50, a gdy wrócił z objazdu fazendy dojechał do 60 tysięcy. Kiedy zaś doszło do ustalenia warunków sprzedaży powiedział odważnie:

— Sześćdziesiąt pięć tysięcy i ani centava mniej.

Trancoso uznał tę cenę za godziwą.

— To wcale niedrogo — powiedział. — Cena jest bardziej umiarkowana, niż przypuszczałem.

Stary zagryzł wargi.

— Sześćdziesiąt pięć — to jasne, ale bez bydła.

— Słusznie — odparł Trancoso.

— I bez świń.

— Zrozumiałe.

— I bez umeblowania.

— Jasne.

Fazender zająknął się. Nie było nic więcej do wyłączenia. Narzągał sobie w duchu od osłów; trzeba było zażądać osiemdziesiąt tysięcy.

Zona nazwała go gamoniem i niedojdą.

— Kobieto, czterdzieści tysięcy to już dobry interes.

— Gdybyś zażądał osiemdziesiąt mielibyśmy drugie tyle. Nie broń się. Nie spotkałam jeszcze Moreiry, który nie byłby oferumą. Masz to już w krwi. Tyś temu nie winien.

Posprzeczałi się trochę, ale budowanie zamków za pieniądze, które spadły z nieba, pogodziło ich wkrótce.

Zico skorzystał z przyjaznej aury, aby wymusić trzy konta na kupno sklepu i przyrzeczono mu je. Dona Izaura zrezygnowała z domku. Wspominała teraz o innym — większym, należącem do Euzebiusza Leite przy ulicy, na której odbywały się procesje.

— Tak, ale kosztuje dwanaście tysięcy.

— Za to wygodniejszy i nie to co tamta rudera. Ładnie rozplanowany. Nie podoba mi się tylko alkowa — bardzo ciemna.

— Wybije się okno.

— Ogród trzeba też zreformować. Zamiast wybiegu dla kur...

Do późnej godziny w nocy robili przeróbki w domu, przemalowując go i zamieniając na najprzyjemniejsze mieszkanie w mieście. Zajęci byli właśnie ostatnimi poprawkami, gdy do drzwi zapukał Zico.

— Trzy konta nie wystarczą, tato, potrzebuję pięć. Potrzebne będą półki, o których zapomniałem, trzeba też zapłacić za rejestrację firmy, za czynsz i inne drobiazgi.

Ojciec między dwoma ziewnięciami wyraził wspaniałomyślnie zgodę.

A Zilda? Ta unosiła się na falach marzeń jak po bezkresnym morzu z baśni.

Nadszedł wreszcie dzień odjazdu przemilęgo natywcy majątku. Gość żegnał się. Przykro mu było, że nie może się dłużej zatrzymać, ale wołały go ważne interesy. Życie kapitalisty nie jest takie łatwe jak się wydaje. Co do interesu uważał go prawie za zawarty; ostateczne słowo przekaże jeszcze w tym tygodniu.

Odjechał zabierając ze sobą spore pudełko jaj, podobały mu się bowiem kury tutejszej hodowli oraz woreczek bulw, przysmak, za którym przepadał. Wziął też inny jeszcze upominek — najlepszego konia na fazendzie. Tak chwalił tego konia w czasie przejażdżek, że fazender dał mu go darmo, kiedy tamten wystąpił z propozycją kupna.

— No, i popatrzcie, — stwierdził Moreira, streszczając ogólnie wrażenia — chłopak bogaty, porządny, wykształcony niemal jak doktor, a mimo to przystępny, uprzejmy i nie kręci nosem jak tamci szubrawcy.

— Od razu widać co za człowiek!

Dona Izaura najwięcej ujęła prostota w obejściu. Wziął jaja i bulwy cará. Czy to nie rozczulające? Wszyscy przyznali jej słusność. Każdy chwalał gościa na swój sposób.

\* \* \*

Ale tydzień minął i nie nadeszła spodziewana odpowiedź. I jeszcze jeden tydzień i jeszcze następny. Zaniepokojony Moreira wysłał list do Trancosa. Nic. Nieszczęsny fazender przypomniał sobie przyjaciela mieszkającego w tym samym mieście. Napisał do niego prosząc by uzyskał od bogacza ostateczną decyzję. Jeżeli chodzi o cenę to gotów jest ją obniżyć do 40 tysięcy wraz z bydlętami.

Przyjaciel odpisał bez zwłoki. Gdy otwierano kopertę cztery serca zabiły gwałtownie — ta niepozorna kartka papieru przesądzała o ich losie.

W liście było napisane:

"Drogi Moreira,

Alto ja się myślę, albo ty ulegasz złudzeniu. Nie ma tu żadnego bogacza, który by się nazywał — Trancoso Carvalhães. Jest natomiast Trancosinho, syn dony Vevy, vulgo Sacatrapo, kanciarz, naberający naiwnych, którzy mu zaufają. Ostatnio pod rozmaitymi pretekstami przemierzył całe Minas Gerais — od fazendy do fa-



zendy. Czasem udaje nabywcę majątku i zatrzymuje się tydzień albo dłużej na fazendzie, łązi wszędzie, ogląda pola, żre i pije, flirtuje ze służącymi, albo z córką właściciela, albo z kim popadnie i w końcu — ulatnia się. Robił to dotychczas chyba ze sto razy. Znam tylko tego Trancoso i nie mam zamiaru przedstawiać mu twojej propozycji”.

Moreira padł na pół zemdłony na fotel. Później krew dopłynęła mu do policzków, a w oczach ukazały się ognie.

— Nikczemnik!

Nadzieje załamały się z trzaskiem. Katastrofie towarzyszyły łązy dziewczyny, wściekłość gospodyni i gniew mężczyzn. Zico wyraził gotowość obicia Trancoso.

— Zostaw, chłopcze! Ziemia się kręci, któregoś dnia spotkam drania to się z nim policzę.

Nieszczęsne marzenia! Nie ma nic bardziej przykrego, niż rozsypanie się złudzeń. Wspaniałe pałace, budowane z niemałym trudem, przekształciły się w ponure rudery, jak w bajce. Dona Izaura oplakiwała placki, masło i kurczęta. Zilda, rażona jak piorunem, musiała się położyć do łóżka, dostała gorączki. Wszystkie tragiczne sceny z przeczytanych powieści stały jej nagle przed oczami, utożsamiała się z nieszczęsnymi ofiarami romansów. Chciała nawet popełnić samobójstwo. Zrezygnowała jednak z tego zamiaru przewidziana, że śmierć z miłości zdarza się tylko w książkach Escricha.

\* \* \*

Tutaj kończy się sztuka dla widzów z parteru, dla tych z galerii trwa nieco dłużej. Publiczność z parteru zachowuje się z pewną nonszalancją: przychodzi po rozpoczęciu widowiska i opuszcza je, gdy zbliża się koniec. Ta zaś z galerii pragnie wykorzystać wydane pieniądze, aż do ostatniej kwestii sztuki. Ludzie ci chcą mieć wszystko wyłożone jasno. Kiedy zaś autor, ulegając nowym prądom literackim, potraktuje temat powierzchownie uważają to za impresjonizm i kręcą nosem. Pragną wiedzieć, czy bohater zmarł i czy bohaterka wyszła za mąż i była szczęśliwa.

Czy Moreira sprzedał swoją posiadłość?

Muszę stwierdzić z przykrością, że nie. Była w tym chyba jakaś diabelska sztuczka.

\* \* \*

Przypadek chciał, że los uśmiechnął się do Trancoso. Wygrał na loterii 50 tysięcy. W jednej chwili stał się bogatym człowiekiem.

Kiedy oprzytomniał po niespodziance postanowił ustatkować się, kupić fazendę. Rozpatrując wszystkie, które oglądał, zatrzymał się na posiadłości Moreiry. Podobała mu się dziewczyna, placki matki. Planował oddanie administracji fazendy w ręce teścia. Pozwoliłoby mu to na beztrudne życie, pełne opieki zakochanej w nim Zildy i gospodarnej teściowej.

Napisał więc do Moreiry, zapowiadając przyjazd dla zawarcia umowy. Gdy list ten dotarł na fazendę rozbudził z miejsca uśpiony gniew i pragnienie zemsty.

— Nareszcie! — zawołał Moreira. — Spodobało się draniowi i chce nas znowu nabrać. Ale tym razem już mu się nie uda — dodał zacieraając radośnie ręce.

W serduszku Zildy zabłysł promyk nadziei. Mrok spowijający jej duszę rozjaśnił się nieco. „A może?” Nie miała jednak odwagi narażać się ojcu, ani bratu, wołała milczeć. Czekała na cud zapaliła świecę przed ołtarzem św. Antoniego.

\* \* \*

Nadszedł oczekiwany dzień. Trancoso na boczającym się koniu wjechał na podwórze. Gospodarz zeszedł na dół, ręce trzymał z tyłu.

— Co słychać, panie Moreira? — powiedział młody człowiek, ściągając cugle. — Tym razem kupuję definitywnie pańską fazendę.

Moreira drżał z wrażeń. Wyczekał aż tamten zsiądzie z konia i ledwie młodzieniec zbliżył się do niego z otwartymi ramionami, cały w uśmiechach, wyrwał spod kurtki bat, zwany *rabo de tatu*, i z całej siły chlasnął go na odlew.

— Zachciało ci się fazendy, szubrawcze! A masz, masz fazendę, bandyto! — i lup! lup! ile wlało.

Biedny Trancoso pobiegł do konia, dosiadł go na oślep, podczas gdy nadbiegający Zico okładał go kijem po plecach, a dona Izaura szczyła psami:

— Bierz go, Branquinho! Huzia, Joli!

Pechowy natywca fazendy, osaczony jak lis, wbił ostrogi w boki konia i umykał pod deszczem przekleństw, złorzeczeń i kamieni. Kiedy mijał bramę doszedł go piskliwy głos gospodyni:

— Nażarłeś się placków i masła, co? Drugi raz już nikogo nie naciągniesz, gałganie!

A Zilda?

Stojąc w oknie, z podkrążonymi od płaczu oczyma, patrzyła jak w тумanie kurzu zniknął na zawsze dorodny młodzieniec, wysniony w złotych snach.

Zaś niefortunny Moreira stracił jedyną w życiu okazję: wydania za mąż córki i sprzedania fazendy...

Tłumaczył: JAN KRAWCZYK

## Esporte Universal Ltda.

ARTIGOS PARA TODOS OS ESPORTES

E UNIFORMES PARA COLEGIOS

Rua Líbero Badaré, 356 — TEL.: 37-5600

Caixa Postal, 4413 SÃO PAULO



Fantofle damskie wyprodukowane z połączenia skóry z tkaniną siatkową. Tkanina ta, opracowana przez laboratorium przemysłu dziewiarskiego w Łodzi z włókna poliamidowego i wiskozowego, ma wygląd różnokolorowej usztywnionej siatki.

## WEEK-ENDY I WAKACJE

RANCHO BOA ESPERANÇA, SÃO JOÃO NOVO

1.000 m n.p. morza, źródła wody mineralnej, urocze spacery, konie pod wierzch, owoce.

Apartamenty z wodą bieżącą i światłem elektrycznym, kuchnia polska. — CENY UMIARKOWANE.

Odległość od São Paulo — koleją 1 i ½ godz. Estr. Sorocabana lub drogą kołową via Estr. Raposo Tavares do Maylaski, a stamtąd 7 km do São João Novo.

Informacje telefonicznie: tel.: 35-5584 lub

Caixa Postal, 6335, São Paulo

Tel.: SÃO JOÃO NOVO N.º 9





W BRAZYLII — W BRAZYLII — W BRAZYLII

## SIWEK MAŁYSZA I MURZYN

Fragment z książki wspomnień: BURZE I RÓŻE

W bramie obejścia Mikołaja Małysza ukazała się ponura postać. Był to Murzyn o masywnej postawie, Artur Trincadeira, zwany Fortecą. Kark miał tęgi, jak lew, nos o rozdętych chrapach, silne zęby zdolne do kruszenia kości, ślepia zbójcekie. Kapa, kapelusz, karabin na ramieniu, rewolwer za pasem, sztylet za cholewą. Znało go, jak sam się chwalił całe Rio Grande. Grasował bezkarnie w okolicy, a choć wnoszone na niego skargi o ciężkie zbrodnie, choć nie raz i nie dwa razy był ujmowany, to jak powiada przysłowie: jednymi drzwiami wchodził, a drugimi wychodził. Skazywano go np. na dziesięć lat więzienia, a on za trzy dni był już na wolności. Jedni mówili, że ma przydział do koszar w Passo Fundo, inni, że służy w Bôa Vista, jeszcze inni, że jest łącznikiem między "maragatami", a "chimangami". Co do tego jednak wszyscy byli zgodni, że mógł robić co chciał, sędziów potrafił przekonywać o swej niewinności, adwokatów terroryzował, w razie potrzeby groził śmiercią. Gdy wsadzono go do więzienia i wychodził to choćby na końcu świata odnajdował i pracę wykonywał.

Taki to potwór w ludzkim ciele wjeżdżał do obejścia Małysza.

Małysz pozdrowił go z daleka, dzieciom kazał zamknąć się w chacie. Miał złe przeczucia.

— Jadę w ważnej misji do Paiol Grande — oznajmił Artur. — Mam rozkaz od kapitana wypożyczyć konia, bo muł nie dojdzie.

Małysz miał konia, jak cacko, swojego chowu, do wozu i siodła. Bronił się jak mógł: że koń młody, dziki, zrzuca, czuły na laskotki...

— Właśnie taki mi potrzebny. Ja ci go wypuczę pod siodło, jeszcze mi dasz za tresurę garrafon wina z wdzięczności.

Smignął lassem i schwytał siwka. Odpiął potem siodło ze zdychającego muła i przelożył na konia. Wsiadł. Koń zatoczył koło i stęknął pod ciężarem Murzyna — Artur ważył 120 kilogramów. Spiał wierzchowca ostrogami. Ten jak użądłony skoczył z miejsca i pognał galopem.

— Ja mu wnet wygnam z tyłka laskotki — krzyknął Artur już z drogi.

Rodzina Małysza wyszła z chaty zatrwożona, wylekniona. Dzieci w płacz, żona w płacz.

— Zabrał siwka, Ancykrys! Niedawno krowinę, dziś siwka. Ostatnie bydło... zatlucze... nie odda...

— Mikołaj, — woła gospodyni, — wyprowadź muła na drogę, bo cię posądzą, żeś ukradł...

Małysz siedział na pieńku z głową opuszczoną. Nic nie widział i nie słyszał z żalu i rozpacz.

Gospodyni zawołała psa i przy pomocy dzieci wypchnęła kulawę bydło na szeroką drogę.

— Niech się idzie, bo na pewno kradzione.

Małysz nie poszedł nazajutrz kosić alfaję, ręce mu opadały, nie chciało się pracować. Siedział przy kominie i pił grane wino. Dzieci czyściły młodą winnicę, a gospodyni zaplakała szyla i naprawiała odzież.

Jakoś po południu dzieci zawołały z sadu: — Tatusiu, Artur wraca i prowadzi więcej koni.

Mikołaj uchylił okno. Artur wjeżdżał na podwórze w towarzystwie białej niewiasty. Siedziała na koniu bokiem, po damsku; minę miała niezadowoloną. Przy bramie zostało dwóch kapangów.

— Odprowadziłem ci konia — powiedział Artur — zdrow i cały.

Małysz nie mógł poznać swojego siwka. Utyłtany w błocie, dyszał silnie. Łeb miał spuszczone, mało pyskiem nie dotykał ziemi.

— Zapaliłeś mi konia...

Artur błysnął ślepiami i powiedział:

— Wypocznie to go dychawica opuści.

Małyszowi lzy ciurkiem leciały z oczu.

Artur na to nie zważał. Zsiadł z konia, chciał również zsadzić z kulbaki towarzyszkę, ale nie pozwoliła, wykręciła muła bokiem do Murzyna.

## GARIMPEIRO QUELUZ

(D. c. z nr. 40)

Bierze mnie chętna zabawienia się z wami w zgaduj zgadulę na temat Jorge Queluz, kim był zanim przywędrował do garimp. O-tóż był on wychowankiem obydwu naszych szkół średnich — kurytybskiej i maletańskiej. Początkowo uczył się w Kurytybie "u Sienkiewicza", potem rodzice przenieśli go "do Kopernika" w Malecie. Przygotowywał się by wrócić w rodzinne strony z trzema dyplomami: nauczyciela, księgowego i geometry. Nic nie wyszło z tych marzeń. Szkoła im. Kopernika została zamknięta w r. 1937 na podstawie dekretu o nacjonalizacji. Queluz trafił do garimpy. Tu wstęp był wolny dla każdego, nie pytano o rodowód ani o świadectwo.

Uciałem sobie z Queluzem pogawędkę po polsku o wspólnych znajomych, ale że gromada nic nie rozumiała z naszej mowy przeszliśmy wkrótce na portugalski, aby się podzielić najświeższymi wiadomościami wojennymi. Kobietom nie do wojny więc wymknęły się po cichu, unosząc liczny przychówek. Przybliżył się za to do ogniska Matias.

— Co tam sprawy zagraniczne — powiedział. — Wracajmy do Kciuka Tytoniu. Każdemu z nas przypada jakaś częśćka. Antonio z bogacił się, Leonidas użył sobie od ucha do ucha, ja wyzłociłem działka. A jak tam z tobą, przyjacielu?

Queluz jakby czekał na to pytanie.

— Probiernia rządowa oceniła moje bamburro na przeszło sześć kilogramów złota czystego, a bank wypłacił mi po 20 milów za gram. Za te pieniądze oraz za to co dopłacili moi stryjeczni i wujeczni kupiliśmy resztkę po dawnej sesmarii, obejmującą 800 akrów ziemi, aby założyć spółdzielnię rodzinną katarzyńskich Queluzów. Tu do Broto wstąpiłem z zamiarem poznania wzorów waszej pracy.

— Dziękujemy, dziękujemy!

— ... no i z pewnym interesem.

— Co za fuma — burknął — mówię ci zejdz!

Zwracając się do gospodarza dodał:

— Przygotuj mi pokój na jedną noc.

— Tego to już za wiele — pomyślał Małysz. — Wściekł się chyba, żeby mi tu z tą dziewczką...

Nic jednak nie powiedział.

— Jak widzisz, patricio, ona jest jeszcze dzika — uśmiechnął się Artur — ale ją ujeżdżę jak twojego konia. No, to jak? Dajesz mi ten pokój?...

Małyszowi zacisnęło gardło.

— Moja, albo twoja śmierć — pomyślał — rzucę się i rozewnę na kawałki...

Wiedział jednak dobrze, że tego nie zrobi.

— Tato — wołały dzieci — siwek nie chce jeść. Położył się na trawie i trzęsie się.

— To jak, patricio, dajesz pokój? — powtórzył szorstko Murzyn.

Małysz ogarnęło natchnienie.

— Chętnie dałbym, czemu nie? Kobieta już nawet sprzątnęła pokój i zmieniła pościel, ale w południe przyjechał posłaniec i zamówił pokój dla kapitana. Kompania rozbije namioty na pastwiisku.

Artur, zaskoczony tą wieścią, wsiadł na konia i poprawiając się na siodle, powiedział:

— Muła nie potrzebujesz oddawać. Daruję ci go. Até logo!

Znikł z dziewczyną i kapangami za zakrętem.

ROMAN WACHOWICZ

— Słuchamy.

— Może odłożymy interes na jutro? Księżyc stoi już wysoko nad Cristaliną.

— U nas radzi się najlepiej w nocy, jak sam widzisz.

Queluz rozejrzał się bacznie dookoła jakby mu zależało na zachowaniu tajemnicy. Na placu została sama starszyzna. Można śmiało mówić.

— Tu gdzie siedzicie — rzekł krótko — to chyba kozy paść, nie garimpować.

— Myślisz, że twoja sonda powiedziała nam coś nowego. Mamy najlepszy dział w okolicy z kamuszkami pośledniejszego gatunku.

— A dlaczegoż to?

— Wypadło łapać co jeszcze nie uciekło. Była to ostatnia wolna działka nad Imbirrą.

— Podziwiam waszą zdolność zaciskania pasa, waszą wytrwałość...

— Jagunco jest dzieckiem pustyni, nie wiesz? Chwilowo ratuje nas pobliskie casqueiro, czyli złożę wcale nie najgorszych kamyków ukrytych w żwirze tuż pod powierzchnią stepu. Kopiemy tu sobie motyczką niczym w batatach lub manioku.

— A co będzie, gdy się casqueiro wyczerpie?

— Rozglądamy się za innym stanowiskiem. Każdej niedzieli nasi wywiadowcy przetrząsają dookolne kotliny, jak dotychczas bez rezultatu.

Rozmowa się urwała. Wstępemu ceremoniałowi stało się zadość. Teraz można było przystąpić do sedna sprawy. Nastąpiła chwila oczekiwania. Na przygasie węgle padła wiązka suchego chrustu.

Gość rozwiązał swój plecak i wydobyl dwa kryształowe butelki. Gestem wytrawnego kupca uniósł kamienie w górę i obrócił się powoli, aby widzowie mogli je dobrze obejrzeć. Okazy wyglądały jak bliźniaczka para, oszlifowana pod jedną i tę samą miarę. Kiedy graniastosłupy wypełnił blask od wewnątrz i kiedy jednocześnie pokryły je iskry oblasku od zewnątrz trudno by-



to powiedzieć co bardziej świeci: czy kryształy, czy oczy widzów.

— A teraz do klasyfikacji, panowie! — przerwał milczeniu Queluz. — Chcę prosić o ocenienie mojego skarbu, bo sam nie bardzo się na tym rozumiem, a w każdym razie mniej, niż na katarzyńskich batatach. Do kogo mam mieć zaufanie jak nie do znawców z Broto?

Kryształ skalny, niegdyś zwykłe świecidełko, używane do zdobienia wnętrz pałaców, teatrów i kościołów, znalazł ostatnio zastosowanie w elektronice. Garimpa brazylijskie rzucają na rynki światowe corocznie tysiąc ton kryształów. Owoc kopalni opuszcza rodzinne leże po umiejętnym sortowaniu. O ten właśnie zabieg chodziło Queluzowi. Chciał wiedzieć co ma w ręku.

W mgnieniu oka powstało laboratorium polowe, zaimprovizowane przy pomocy miednicy z wodą, młoteczka, pilnika, wagi i reflektora od motocykla. Komendę nad przebiegiem badań i ogłaszaniem wyników wzięł na siebie z urzędu prezes. Zabrał się do tej czynności z powagą nieco podejrzliwego, acz sumiennego licytatora, wiodąc rozmówki na przemian z prowadzącymi badania, posiadaczem kamieni, czasem z sobą.

— Mówicie, że to *crystal de prata*? No, niech będzie... Tak to istotnie "srebrny kryształ". A jak z dźwiękiem? Aby wydobyć krystaliczny ton wystarczy uderzyć lekko młoteczką. Niczego sobie, niczego! Dźwięczy w sam raz jak srebro. Taki dźwięk miały dawne dwudziestogramowe dwumilrejsówki, aż żal wspominać...

Z kolei trzeba było zajrzeć do wnętrza, tam się bowiem kryje wartość kryształu. Jest to zabieg podwójny: najpierw przezroczystość...

— Trzymaj się, Queluz, i bądź przygotowany albo na uciechę, albo na rozczarowanie. Kamraci prześwietlają kryształy przepuszczając światło przez wodę. Robią to z przekonaniem... *Epa*, co pleciecie? Ludzie kochani, zachowujcie miarę, po co ubliżać wodzie źródlanej. Czy nie wystarczy powiedzieć, że kryształy są przejrzyste jak szkło?

Badanie kryształowej głębi nie byłoby zupełne, gdyby prześlepić utajone w niej skazy i wady. Po wysłuchaniu fachowego orzeczenia kolegów Casagrande sprawdził rzecz własnym okiem. Przez dłuższą chwilę oglądał okazy pod światło sprawdzając czy nie mają peknąć, mgielki, pęcherzyków powietrza, ciemnych punktów, "kreski błękitnej" lub "srebrnego deszczu". Na próżno jednak ponawiał badania powodowany szczyptą zawodowej zazdrości. Ani się spozostregł, jak uległ zachwyceniu, podbity przestworem zorzy zakłetej w kryształach.

— Żeby to znaleźć miejsce rodzące takie kamyki... Cóż, jakże tu fortunnego znalazcę pytać o miejsce? Nie powie. Nosi się z sekretem jak z myślą o swojej dziewczynie.

Kryształy położono na wadze.  
— Bliźniaki. Jeden waży tysiąc sto gramów, drugi — tysiąc sto pięćdziesiąt. Bocian europejski przyniósł je tobie, kochasiu?

Ogłędziny zakończyło ustalenie ceny.  
— Za jednokilowy kryształ płacą 400 milów. Masz zatem w kieszeni dwa razy tyle. Powinna ci wystarczyć ta kupa papierków. Aby uciuć podobną kwotę trzeba w spółdzielni trzech miesięcy, a w prywatnych odkrywkach nawet — czterech.

Antonio Casagrande przekalkulował coś w myśli, potem zaś odbył szeptaną naradę ze starszyną.

— Wiesz co, Jorge, — podjął — twoje babilony nadają się w sam raz na uzupełnienie naszej niezbyt szczególnej kolekcji. Zależy nam na podniesieniu jej wartości w oczach Jankesów, ofiarujemy ci więc konto za obydwa kryształy. Odstąpisz je?

Zrobił wymowny ruch dłonią, zapraszając do natychmiastowego zawarcia tranzakcji.

Oferta zaskoczyła Queluzą. Nie będąc na nią przygotowany zmieształ się i zaniemówił. Po raz pierwszy był skonfidowany.

— Seu Antonio, — powiedział, przelknawszy ślinę, — nie mogę się rozstać z cenną pamiątką. Pozwólcie, niech ją zatrzymam, niech mi służy jako upominek z pierwszej, no i nie ostatniej wizyty w Goiás.

— Jeżeli chodzi o gościniec z wojażu — doradził Leonidas — kup sobie skórę boa dusiciela.

— Żeby przestraszyć narzeczoną, oczekującą na mnie w Santa Catarina?

— Więc co gadałeś o interesie? — natari Casagrande. — Wyludziłeś od nas rzetelną cenę i zaraz stałeś się hardy?

— Kamraci, — odparł spokojnie Queluz — interes polega na tym co tam pozostało.

— Nie baw się w miejskie *bate papo* (potrząsanie wolem) — rzucił ktoś z boku, — wyłóż sprawę zrozumiale, po garimpersku.

— Zaraz, zaraz, powolutku... odparł Queluz.

I opowiedział obszernie w jaki sposób odkrył nieckę z kryształami w odległości pięciu mil na południe od Cristaliny. Wspominał najszampierw dobrego swego przyjaciela, Hernanda Garcia y Gomez de Casimiro, który stworzył własną teorię garimpy i wprowadził młodszego kolegę w tajemnice podziemi. A potem, że wykorzystując porę zimową, brał corocznie urlop od ziemniaków i dawał nura w płuczki, raz tu, raz tam. Kiedy przed dwoma miesiącami zawadził o gojańskie Góry Kryształowe zwróciła jego uwagę *tapiokanga*, magma pochodzenia wulkanicznego. Jest to dobra znajoma bydła, węzów, pancerników i garimpeirów. Na pokładzie *tapiokangi* znajduje się stara *grupiara* Bugre, znana z doskonałych kopalni, wciąż jeszcze niewyczerpanych. Kryształy tkwią w tapiokandze jak w zwale stwardnia-

tego ciasta i wszystkie są szlachetne, wszystkie jednakowe. Szukając kryształów nie wolno było zejść z kierunku, w którym biegł pas złoża Bugre. Queluz natrafił na bogate złożo kamieni idąc wystrawale w tym kierunku. Ocenione przez Casagrande i jego kamratów kryształy pochodziły z działki, którą Jorge wytyczył już i zalegalizował. Będzie tam robota na długie lata byle tylko odkrywkę puścić w ruch.

— Ponieważ sam nie mogę się tym zająć — zakończył Queluz — przyszedłem do was, żeby zapytać...

— Co tam pytać, po co pytać? — podjął Antonio, cały rozpromieniony. — Mów, bracie, prosto z mostu: przeniesiecie spółdzielnię z Broto do Resfriadinho. Czy nie tak? A więc zgoda, kamracie, prawda, koleczy? Jorge Queluz będzie odąd członkiem dwóch spółdzielni: ziemniaczanej w katarzyńskich piniorowinach i garimperskiej w gojańskich kozibródkach.

Murzyn zerwał się z pieńka.  
— Trzeba wyruszyć niezwłocznie na zwiaady, aby obejrzeć nowe miejsce — powiedział. — O świecie biegnę w *cerrado* po muły. Trzy siodła, czyż nie tak, prezesie? Jedno dla Queluzą, drugie dla pana, a trzecie dla mnie.

— Brawo, Leonidasie, — podziękował Queluz. — Zależy mi na pośpiechu. Słyszałem, że w przyszłym tygodniu odlatuje "teco-teco" z lotniska pod Cristalina. Poleci do Rio Grande do Sul, chcę wykorzystać tę rzadką okazję.

KONIEC!

PAWEŁ NIKODEM

## A CZY FRANCUZ ODDAŁ...

Było to w roku polsko-niemieckiego plebiscytu na Śląsku. Sześćdziesiątka w stronę Retiro posuwał się niewielki zespół miernika polskiego Chica Sypnickiego. Przemocili dwa muły juczne obciążone walizkami, namiotem, naczyńiami kuchennymi i żywnością. Za nimi jechali troper i kucharz, obaj kabokle brazylijscy, dyskutując żywo kto wygra na wyścigach konnych, które odbędą się za tydzień w São Sebastião. W tyle na myszaty mule postępował Sypnicki, rozprawiając o plebiscycie na Śląsku ze swym pomocnikiem, stąpającym tuż przy nim na pięknym gnadoszu.

Sypnicki, poznańczyk, systematyczny i patrzyjący trzeźwo na świat, a zarazem pesymista, wyrażał obawę, że Niemcy wygrają plebiscyt i Polsce mało co zostanie się ze Śląsku. Pomocnik, z pochodzenia królewski, utrzymywał, że Francja nie dopuści do tego i że połowa Śląska przypadnie Polsce. Rozmowę przerwał im troper zapytując gdzie chcą zanoć. Było już późno i trzeba było wybrać pomiędzy noclegiem u Polaka na Retiro lub wendziarza w Passa Três o kilka kilometrów dalej.

— Zatrzymamy się u Sonhadora — zdecydował Sypnicki.

Wkrótce wynurzyło się przed wędrowcami niewielkie wzgórze pokryte liściastym borem.

— Widać już posiadłość Koniępczkiego — zawołał Sypnicki.

— Koniępczkiego?

— Pan go nie zna?

— Nie, nigdy nie słyszałem o takim nazwisku w Paranie.

— Bo nie należy pan do paczki parańskich piniorów — zawyrokował Sypnicki, który piniorów nazywał uparcie piniorami.

— Przyznam się, że nie słyszałem nigdy o takim nazwisku — powtórzył królewski. — Czyżby to był potomek magnata Koniępczkiego?

— Nie. To magnat ducha!

— Nie rozumiem.

— Trochę cierpliwości. Za chwilę pozna go pan i oceni. A oto i zagroda Koniępczkiego.

Na pagórku za ruczajem stała chata z piniorowych desek pokryta gontem. Obok — dwie szopy. Jedna służyła jako śpichrz na zboże, w drugiej mieściły się przybory pasteczne i skrzynki z miodem. Podwórce przed domem zamknięte było od frontu wielkimi imburowymi wrotami. Od wrot na lewo ciągnął się parkan z piniorowych dranic, na prawo zaś — ogrodzenie z olbrzymich paproci *xaxim*. Paprocie te rosły zwartym szpalem od domu do ruczaju i wspaniałymi pióropuszcami liści zasłaniały widok na ogród, sad i nasiekę.

Przybysze klasnęły w dłonie. Po chwili otworzyły się drzwi chaty i stanął w nich pan Józef, zwany Koniępczkim przez Polaków, a Sonhadorem przez Brazylijczyków (*Snowidem*). Średniego wzrostu, trochę garbiony, o obwisłych wosach, spiczastej brodzie i wielkim, charakterystycznym nosie podobny był zdaniem Sypnickiego do Stanisława Przybyszewskiego. Stanąwszy w drzwiach przyłożył rękę do czoła i obserwował przez chwilę gromadkę Sypnickiego.

— Apeiem! (Zsiądźcie z koni!) — zawołał i poszedł otworzyć wrota.

Sypnicki widząc, że gospodarz go nie poznał, powiedział:

— To ja, panie Józeffe.

Koniępczki zachnął się. Język polski, rzadko słyszany, podział nań jak prąd elektryczny.

— O, seu Chico! (O, panie Franciszku!). Pan tu? Ach, mój Boże, kogo ja widzę!

I zaczął pospiesznie otwierać na oścież wrota. Pomogli mu Brazylijczycy, którzy posiadali właśnie z koni. Za chwilę Koniępczki i Sypnicki obejmowali się jak dwa niedźwiedzie i klepali długo po plecach na znak



wielkiej przyjaźni i szczeroci uczuć.

Sypnicki kazał sługom rozsiadłać konie i rozpiąć namiot na podwórzu. Kamaradzi wykonali to polecenie sprawnie i szybko i zabrali się do przyrządzania wieszery.

Sypnickiego i królewia Koniciepcowski wprowadził do chaty i poprosił, żeby usiedli w frontowej izbie na ławie stojącej pod ścianą. Pobiegł potem do kuchni po papierosy i szmaron. Papierosy były w zwijkach z liścia kukurydzianego. Przypalało się je od węgla jarzącego się na blaszanej łyżce. Wkrótce zjawił się szmaron. Przy szmaronie trzej Polacy rozpoczęli w najlepszą gawędę. Gdy już obgadali z grubszej trzaski wszystko podniósł się gospodarz i chwyciwszy Sypnickiego za rękę powiedział:

— Panie Chico, ja pana nie puszcze! Pan i pański towarzyszy musicie dziś wieszerać ze mną i spać w mojej ranszy.

Sypnicki daremnie się wymawiał, że ma kuchnię i kucharza i że nie chce fatygować żony Koniciepcowskiej. Nic nie pomogło. Musiał ze swym pomocnikiem zostać na wieszery i przemocować w gościnnym domu pana Józefa. Kamaradzi jedli i nocowali w namiocie.

Zapadał już zmierzch, gdy gospodarz zaprosił swych gości do kuchni, mieszczącej się w tyle domu. Przywitani się z gospodynią i usiedli na niskich stołkach przy niskim stoliku zastawionym obficie jadłem. Wśród owego jada paliła się gruba, woskowa świeca.

Mieli już zacząć spożywać dary Boże, gdy Sypnicki zauważył przez otwarte drzwi alkowy drzemiącą na stołku staruszkę, o twarzy pomarszczonej blado-żółtej i włosach zupełnie białych.

— Czy to pańska matka? — zapytał Sypnicki.

— Tak, to mama.

— Musi być bardzo stara.

— Ma dziewięćdziesiąt lat.

— Śliczny wiek. A czy nie choruje?

— Nie choruje, ale traci słuch i wiedzę z dnia na dzień, jak w jesieni liść na drzewie. Żal zrobiło się Sypnickiemu staruszki.

— Panowie, — powiedział — to obraz dawnej Polki, kończącej swe dni na ziemi brazylijskiej.

Ledwo to wymówił, gdy staruszka zakaszła i poruszyła się. Otworzyła oczy i spojrziała na świecę płonąca na stole w kuchni. Ze świecy wzrok jej przeniósł się na obecnych przy stole. Patrzyła jak patrzy niemowlę na nieznaną mu twarz ludzkie. Nie rozumiała co się dzieje. Widać było, że nie zdaje sobie sprawy, iż w domu są goście.

Miernik poczuł jeszcze większy żal.

— Chciałbym pomówić z pańską matką — powiedział.

— Pomówi pan po wieszery. Teraz jedzcie, bo wystygnie.

Ale miernik nie mógł jeść dopóki staruszka patrzyła na kuchnię.

— Czemu nie poprosi jej pan do stołu albo nie poda wieszery do alkowy?

Kiedy gospodarz wytłumaczył, że matka o tej porze nie jada i że co najwyżej może wypić filiżankę kawy, której nie ma w domu, Sypnicki natychmiast pobiegł do namiotu i przyniósł pudełko mielonej kawy.

Po wieszery Sypnicki poprosił gospodarza o chwilę rozmowy z jego matką. Koniciepcowski chętnie zezwolił. Powiedział tylko, że trzeba mówić głośno, gdyż staruszka nie dostyży. Jednocześnie uprzedził matkę, że pewien Polak, którego gości u siebie, pragnie z nią porozmawiać.

— Dobry wieczór pani! — pozdrowił ją Sypnicki, wchodząc do alkowy.

Staruszka patrzyła wyblakłymi oczami na nieznanego i wahała się. Potem westchnęła i odparła:

— Na wieki wieków. Amen!

Miernik zawstydzil się, że staruszka na jego święcie pozdrowienie odpowiedziała pozdrowieniem Bożym, jak pozdrawiali dawni Polacy.

— Przyszedłem odwiedzić panią i pogawędzić.

— Czy pan Polak?

— Polak.

— Z Litwy?

— Nie, proszę pani, z Poznania.

— Z Poznania?

I zamyśliła się, jakby szukała Poznania w pamięci.

Podniosła potem głowę i zapytała: ...

— Pan dawno z Polski?

Sypnicki odparł, że wyjechał z Polski kiedy była jeszcze w niewoli, ale że teraz jest już wolna.

— Czy to prawda? — podchwycił Koniciepcowski, wtrącając się do rozmowy.

— To pan nie wie?

— Ano nie wiem. Wprawdzie kałokle mówili, że Polacy mają już swoją banderę, ale nie wierzyłem, podejrzewając, że chcą mi się przypochlebić.

— Słowo stało się ciałem — powiedział miernik. — Polska zmartwychwstała. Już trzeci rok jest wolna.

— O czym mówicie? — dopytywała się starowina.

Przysłuchiwała się rozmowie, ale widać było, że nic nie rozumie.

— Mówilem, proszę pani, że Polska jest wolna — powiedział głośno Sypnicki.

— Wolna? — zawołała, ożywiając się i spoglądając na gościa, jak matka na lekarza, kiedy ma orzec, czy dziecko jej będzie żyło, czy też umrze.

— Tak. Odzyskała wolność po wojnie w 1918 roku. Niemcy, Rosja i Austria przegrały wojnę i oddały zabrane ziemie. Brak jeszcze tylko Śląska i będziemy mieli wszystko.

— A Francuz oddał? — zapytała starowina, patrząc przenikliwie na Sypnickiego, jakby od tego, czy Francuz odda lub nie odda zależał był Polski.

— A cóż ma oddać Francuz? — odparł zdziwiony nieco miernik.

— A więc nie oddał? — zawołała z rozpaczą w głosie kobieta.

Sypnicki zaczął jej cierpliwie tłumaczyć, że Francja nie brała udziału w rozbiorach Polski i nie posiadała nigdy ani piędzi ziemi polskiej. Ale starowina nie słuchała tych wywodów. Smutna, prawie ze łzami w oczach, popadła w zadumę. Sypnicki stracił głowę, nie wiedział już co powiedzieć. Na szczęście królewia wyratował go z kłopotu.

— Proszę pani, — powiedział — Polska jest cała. Wszyscy oddali co do jednego. Staruszka spojrziała na niego niedowierzająco.

— A czy Francuz oddał?

— Oddał, proszę pani. Już dawno.

— Naprawdę oddał?

— Naprawdę.

— A więc jest Polska — powiedziała i w jej wyblakłych oczach widać było jak ogarnia ją uczucie szczęśliwości.

— To Francuz oddał?

— Oddał, oddał!

— Boże wielki, czego ja dożyłam!

Poruszyła się na zydełku i padła na kolana, unosząc suche ręce do góry.

— Dzieci, — powiedziała — dziękujcie Bogu za wybawienie. Czegom ja doczekała, czegom ja doczekała!

Lzy toczyły się jej po policzkach. Chwila była uroczysta. Wszyscy patrzyli i milczeli. Potem uniosła się z kolan, siadła na zydełek i cała promienna zawołała:

— Józiu, daj mi kawy. Ugość panów.

Cieszy się dobrą nowiną.

Gospodyni zakrzątnęła się koło kawy. Po chwili, pijąc gorącą napój drobnymi łykami staruszka podochocona i ożywiona nie do poznania powiedziała:

— Opowiem wam jak mnie Moskale nastraszyli w 63 roku.

Mój mąż, biedny wyrobnik, był na u-

sługach powstańców. Dostarczał amunicję, woził pocztę, szpiegował, robił wszystko co mu polecono, nie licząc się z następstwami.

Trwało to jakiś czas, aż wreszcie ktoś na niego doniósł Moskałom. Do wsi, gdzie mieszkaliśmy, przyjechało sześciu żołdatów i oficer. Mieli zaareztować męża i wywieźć go na Sybir.

— Gdzie państwo mieszkali? — zapytał królewia.

— Ano w naszej wsi, w Olwicie, niedaleko Pojezierza, w powiecie wilkowskim. Czy pan zna?

— Nie, nie znam.

Zamyśliła się.

— Na czym to ja stanęłam?

— Powiedziała mama jak to tych sześciu żołnierzy przybyło do wsi — przypomniał Koniciepcowski.

— Acha! Leżeliśmy w łóżku, bo noc już zapadła. Leżałam z dzieckiem przy pierśsiach, a przy mnie Janek maleńki jeszcze, bo dopiero zaczął paść gęsi. Mąż spoczywał w pobliżu mnie na ławie, gotów wstać w każdej chwili i pójść gdzie mu każą. Spaliśmy kiedy ktoś zapukał lekko do okienka. Mąż wstał, wyjrzał przez okno, porozmawiał chwilę z człowiekiem stojącym na dworze, a potem zwrócił się do mnie:

— Muszę uciekać. Moskale chcą mnie areztować.

— Nie będziesz uciekał — powiedziałam — ja cię schowam.

Zaswieciłam kaganek, zdjęłam lnianą płachtę z łóżka, rozgarnęłam siennik i kazałam mu wleźć w środek. Kiedy wszedł w ubraniu i w butach przykryłam go słomą, nakryłam prześcieradłem i buch! z dziećmi na łóżko. Położyłam się na męzu, trzymając niemowlę po prawej, a Janka po lewej stronie. Jankowi nakazałam, żeby nie mówił nic, gdy przyjdą Moskale tylko krzyczał i płakał.

— Jeżeli powiesz gdzie jest tata — pogroziłam mu — to Moskale zakłują nas wszystkich bagnietami.

Zgasiłam kaganek i czekam. Każda chwila wydawała mi się wiekiem. W końcu usłyszałam tętent kopyt końskich. Wkrótce zaczęło się dobijać do drzwi.

— Otkrywaj! (Otwieraj!)

Zapaliłam lampkę i kazałam Pietrkowi otworzyć. Wszedł oficer i dwóch żołnierzy. Inni zostali na dworze i pilnowali, żeby mąż nie uciekł przez okno.

Oficer zaraz od drzwi zapytał o męża. Odpowiedziałam z płaczem, że nie wiem gdzie się podziewa, że leżę chora od tygodnia i nie mam pojęcia co się dzieje na świecie.

Zaczęli rewizję. Wszystko spenetrowali, ale męża nie znaleźli. Wrócili w końcu do izby gdzie leżałam. Strach mnie ogarnął. Ścisnęłam dzieci i zaczęłam płakać. Oni tymczasem wleźli pod łóżko, pod stół, zajrzeli do skrzyni, a wreszcie zwrócili się do mnie, do łóżka. Podnieśli kołdrę — nie ma nic. Ja tymczasem zaczęłam szczypać niemowlę, które z bólu krzyczało w niebogłoso, a gdy żołnierze wyjęli bagnety, żeby kluc siennik, zawołałam:

— Zlitujcie się, nie zabijajcie!

Janek też wrzeszczał i płakał, żeby nas nie zabijali. Zrobił się taki krzyk, płacz i lament jak na sądzie ostatecznym. Ale i Moskale mają duszę i wielu z nich to dobrzy i szlachetni ludzie. Żal się zrobiło oficerowi i żołnierzom chorej kobiety. Podnieśli siennik z jednej i z drugiej strony, dźgnęli od niechcenia tu i tam i odeszli nie znalazłszy buntowszczyka.

Uklękliśmy potem pod obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej, dziękując gorąco za ocalenie.

PINIOR



# Blaski i nędze wojny na "Sokole"

(Dokończenie z nr. 39)

Opowiadanie moje zbliża się do końca. W r. 1943 po zajęciu przez aliantów Sycylii i rozpoczęciu inwazji na Włochy kontynentalne "Sokół" wyruszył na ostatni patrol. Przed wyruszeniem otrzymaliśmy rozkaz, żeby nie torpedować żadnego okrętu w południowej stronie Morza Adriatyckiego, gdyż cała flota włoska już się poddawała. W tym czasie Niemcy zatopili, rzucając mu bombę do kominu, wspaniałą, nowoczesny pancernik włoski "Italia". Udał się on właśnie do Toronto, gdzie gromadziła się poddająca się flota.

Płynęliśmy bez żadnego przypadku. Dopiero na wysokości Brindisi natknęliśmy się na handlowiec włoski "Saturnia" o wyporności ponad 20 tys. ton. Było to już drugie spotkanie z tym statkiem w karierze "Sokoła". Po raz pierwszy, jeszcze za kapitana Karnowskiego, wypuściliśmy do niego aż dwie torpedy i obie chybiły. Teraz mieliśmy go bardzo blisko i gdyby nie zakaz... Był cały od góry do dołu załadowany wojskiem, płynącym z Albanii. Przepuściliśmy go nie bez żalu.

Dwa dni chodziliśmy koło Brindisi. Przy wejściu do portu można było zaobserwować olbrzymie bunkry i wystające z nich długie lufy ciężkich dział. Powiadomiono nas przez radio, że wysunięty bardziej na północ port Bari został już zajęty przez sojusznika. Kapitan Kwiatkowski postanowił więc okupować Brindisi. Na jego wezwanie z portu wyjechał kuter torpedowy włoski.

Zdarzyła się wówczas historia, która mogła się strasznie głupio zakończyć. Kuter zatrzymał się przed naszym dziobem, a myśmy wciąż jeszcze jechali. No, i pchnęliśmy go pomalutku, nie chcąc i kuter poszedł zaraz na dno. Byłoby w tym jeszcze pół biedy, ale miał on ładunek bomb głębinowych. Jedna z nich była nastawiona na płytkie zanurzenie i ta jedna wybuchła ryktyk pod nami. Zrobił się niesamowity huk, okręt cały zadrał. Na szczęście skończyło się na strachu.

Był to ostatni zatopiony przez nas okręt. Zalogę kutra uratowaliśmy. Byli głodni. Daliśmy im jeść, rumu i papierosów.

Wkrótce potem przybył wywołany przez kapitana Kwiatkowskiego ścigacz włoski i na jego pokładzie kapitan udał się do portu. Dowiedział się tam, że Niemcy wycofali się w przeddzień, port był bez wojska, zostali tylko włoscy oficerowie. Rozmowy trwały krótko. Komendant portu zgodził się na okupację. Brindisi zostało zajęte bez walki.

Po załatwieniu wszystkich formalności wypłynęliśmy z Brindisi. Tu zdarzyła się jeszcze jedna przygoda. Spostrzegliśmy nagle płynący nam na przeciw okręt podwodny włoski. Sensacja. Kapitan Kwiatkowski podał sygnał zatrzymania, ale Włoch, jak gdyby nic, płynął dalej. Strzał przed dziobem zahamował jednak jego zapędy. Zbliżyliśmy się. Kapitan włoski, chłop wysoki i ponury, wyszedł na mostek.

— Pojedźcie pan pod naszą eskortą do Toronto — powiedział kapitan Kwiatkowski.

Tamten kiwnął tylko z rezygnacją głową. Na pokład Włocha udał się por. Fritz i sygnalista, Janek Pajdak. Okręt włoski pojechał przodem, my za nim. Okazało się wkrótce, że Włoch jest znacznie szybszy, był nowoczesniejszy od naszego "Sokoła". Nie mogliśmy go dogonić. Wtedy kpt. Kwiatkowski dał sygnał, żeby tamten zwolnił. Ale gdzie tam! nie posłuchali nas. Aby nie tracić twarzy Kwiatkowski wydał rozkaz:

— Jedźcie w takim razie sami.

I pojechali. Por. Fritz opowiadał potem, że gdy przybyli do Brindisi znajdowała się tam większość floty włoskiej: pancerniki, krążow-

niki, niszczyciele... i pilnował tego całego kramu jeden tylko pancernik angielski. Przy wejściu do portu ten pancernik angielski zaczął eskortowanemu przez por. Fritza okrętowi podwodnemu stanąć i zidentyfikować się. Z kapitana włoskiego była jednak harda dusza. Zignorował ten rozkaz. Wtedy pancernik angielski plunął z trzech ciężkich dział tuż przed dziobem Włocha. Poskutkowało. Staniając się na nogach kapitan włoski zawołał:

— Cała wstecz!

## CZARNA PANI

(D. c. z nr. 40)

— Podobno pracowała pani więcej niż 24 godziny na dobę?

— Można tak powiedzieć. Pierwszy dzień pracy trwał od 17 do 22 lipca. Byłam sama, mając tylko jedną pielęgniarkę, dwie salowe magazyniera. Same wynosiłyśmy zmarłych i dezynfekowały. Dopiero 22 lipca przyszło dwoje lekarzy. Chorzy są absolutnie od siebie izolowani. O tym, że ktoś umarł w sąsiedniej sali, za ścianą, dowiadawali się przez radio. Nie mamy psychoz ani ataków hysterii. Lęk minął od chwili, gdy skończyły się zgony i ludzie — że tak powiem — zaczęli wychodzić innym wyjściem: na wolność jako zdrowi.

— Czy pani doktor ma jakieś wnioski natury ogólniejszej, jeśli można by to tak nazwać, natury filozoficznej?

— Nie, tylko lekarskiej.

— Czy pani doktor ma jakieś życzenia w stosunku do mnie?

— Tylko jedno: niech pan mi opisz, jak ludzie chodzą ulicą, bo już zapomniałam.

(Następuje krótki opis tego, co widzę przez okno, po czym dziękuję pani doktor za rozmowę. Wyrażam nadzieję, że niedługo ją zobaczę, że nie będziemy oddzieleni kordonem wojska i kablem telefonicznym. Pani doktor potwierdza, że rzeczywiście niedługo tak będzie: szpital w Szczodrem jako szpital dla zarażonych przestanie istnieć).

Odkładałam słuchawkę. Doktor Rodziewicz pyta mnie, co robię dziś wieczorem. Czy przyjmę zaproszenie? Tak, będę tam — odpowiadam. W kieszeni mam druk następującej treści: "Rada Zakładowa i Dyrekcja Okręgowego Urzędu Telekomunikacji uprzejmie zaprasza Redaktora na spotkanie przy czarnej kawie z pracownikami Urzędu, którzy byli izolowani w okresie epidemii. Spotkanie odbędzie się dnia... o godz.... w Klubie".

Punktualnie o osiemnastej przekraczam próg Klubu. Na sali widzę co najmniej sto dziewcząt. Jest wino, owoce, ciasteczka, bukiety herbacianych róż. Wybieram stolik, z taśm płynie twist. Teresa, lat 19, numer służbowy 174 opowiada: "Wzięto nas, całą zmianę na kwarantannę na Psie Pole. Za nas pracowały koleżanki, upały dochodziły do 40°, a pracy było dwa razy tyle, bo wszyscy szturmowali Wrocław, pytali o rodziny i tu, w samym Wrocławiu więcej kontaktowano się telefonicznie niż osobiście. Na zakończenie kwarantanny urządziliśmy na naszym bloku nr. 7 bal kostiumowy. Była i śmierć, i Ospica. Potem jej kukłę spaliłyśmy. Śpiewaliśmy nasz hymn. Teraz dopiero czuje, jak

No i na tym incydencie kończę swoją opowieść. Pojechaliśmy jeszcze później do Bejrutu, a stamtąd do Anglii. W Londonderry w Północnej Irlandii kazano nam prosto porzucić okręt na mieliźnie, nie był już potrzebny. Z żalem opuszczaliśmy łajbę, na której zatopiliśmy 34 okręty o łącznej wyporności ok. 250 tys. ton.

Cóż, nie ma nic wiecznego pod słońcem.

Jerzy R. Fusiarski

to dobrze, że jesteśmy ocaleni, że przeżyliśmy, że nie umarliśmy. Nie byłoby już dzisiejszego dnia".

KRZYSZTOF KAKOLEWSKI

P. S. Pan J., podany w komunikatach prasowych jako człowiek, który był "kontaktem O", który przywiózł ospę do Polski, zaprzecza tej wersji". Dlaczego — mówi w rozmowie, którą przeprowadziłem z nim przed wyjazdem z Wrocławia — nie zachorowała moja żona, moje dzieci, krewni, wszyscy, których całowałem, z którymi jadłem i spałem, moi najbliżsi współpracownicy — a zachorowała salowa Połubińska, która w okresie mojego pobytu w szpitalu zmywała podłogę w moim pokoju? Dlaczego, kiedy byłem chory, stwardzono malarię? Taki był wynik badań instytutu w Gdańsku. Dlaczego moje zachorowanie na ospę było aż tak nietypowe, że nie było wysypki, podczas kiedy u wszystkich innych wysypka była? Pan J. zgromadził już szereg dokumentów na swoją "obronę" — choć przecież nikt nie jest winien swojej chorobie: m. in. stwierdził, że siostra Kowalów, a córka Połubińskiej otrzymała w okresie, gdy w Szwecji wystąpiła ospa — 17-kilową paczkę... od krewniej właśnie ze Szwecji. Jedną z osób obdarowanych ciuchami... była właśnie Kowalów, pierwsza zmarła na ospę.

## NA NASZYM PODWÓRKU

Nakładem wydawnictwa Agir ukazała się niedawno wielka praca pióra naszego znakomitego współpracownika, Stanisława Fischlowitza p. t. "Fundamentos da política social". Poprzedziła ją w czasie monografia wydana przez Fundację Getulia Vargasa pt.: "Proteção social à família". Prof. Fischlowitz ogłosi też wkrótce drukiem nakładem tejże fundacji studium pt.: "Problemas cruciais da previdência social brasileira".

— ☆ —

Kolonia polska w São Paulo poniosła ostatnio ciężką stratę.

W maju zmarła p. Ida Szereszewska, żona znanego przemysłowca. P. Szereszewska cieszyła się w kołach polonijnych wielką sympatią i szacunkiem. W jej domu spotykało się elitę kulturalną São Paulo. Pozostawiła po sobie wspomnienie dobrego i szlachetnego człowieka.

Również w maju rozstał się z tym światem w wieku lat 53, inż. Arnold Reisfeld, właściciel dużego przedsiębiorstwa przemysłowego, pozostawiając po sobie pamięć światłego i nadzwyczaj czynnego człowieka.



# CONTITEC

CIA. CONTINENTAL TÉCNICA



Rury stalowe bez szwu, ciągnione na zimno  
4,0 do 50,0 m/m średnicy i 0,5 do 2,75 m/m  
grubości ściany.

Rury bez szwu miedziane, mosiężne i aluminiowe.

Praça Sta. Helena, 26 - Cx. Postal, 8451 - Fone: 63-6054

End. Telegráfico "CONTITEC" — SÃO PAULO

## Caldeiraria e Mecânica INOX Ltda.

ESPECIALIZADOS EM AÇO INOXIDÁVEL  
— COBRE — ALUMÍNIO — FERRO —



RESERVATÓRIOS  
AUTOCLAVES  
CALDEIRAS  
TANQUES  
TACHOS



### EQUIPAMENTO P/INDÚSTRIAS

- ★ Química - Farmacêutica
- ★ Gorduras - Sabões
- ★ Perfumarias - Cosméticos
- ★ Têxtil - Tinturarias
- ★ Papel - Papelão
- ★ Conservas - Chocolates
- ★ Carnes - Frigoríficos
- ★ Laticínios - Pasteurizados
- ★ Bebidas - Distilarias
- ★ Plásticos - Borracha
- ★ Tratamento de água

ESCRITÓRIO E FÁBRICA:  
Rua Oliveira Lima, 455  
C a m b u c i

Fone: 35-4995  
SÃO PAULO

# SPIG

## Sociedade Paulista de Instalações Gerais S. A.

Projetos — Instalações Industriais — Eletricidade —

Mecânica — Hidráulica

Avenida Duque de Caxias, 94

Fone: 52-1105 - (Rêde Interna)

End. Electr.: — "SPIGERAL"

SÃO PAULO





W "Jeziorze Łabędzim" Czajkowskiego w Operze Śląskiej osiągnęła duży sukces w partii Odetty-Odylii młoda i zdolna debiutantka, Iwona Wakowska.



Stroje ludowe z okolic Żywca.

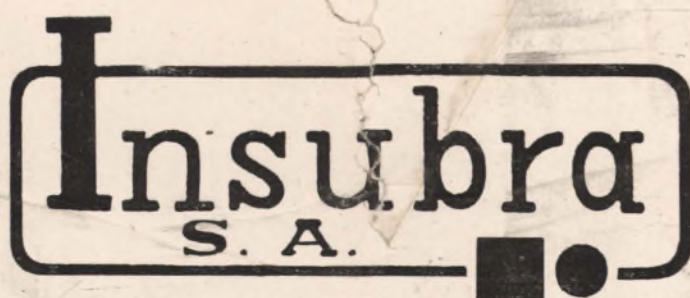


Sziglasowa — widok na Wysokie Tatry. W głębi Morskie Oko i Czarny Staw.



Jarosław Iwaszkiewicz w kulisach Filharmonii Narodowej.





**A MAIS COMPLETA LINHA  
DE TÔDAS AS MÁQUINAS PARA SEU ESCRITÓRIO**

**Distribuidores exclusivos no Brasil das seguintes marcas:**

**ADLER** — máquinas de escrever e de contabilidade

**EVEREST** — máquinas de escrever e somar, de calcular e de contabilidade

**ROTO-CENTO-PRINTO** — duplicadores e mimeógrafos a álcool, tinta e processos heliográficos

**CITOGRAPH** — equipamentos de endereçar e organização

**ORMIG** — máquinas de racionalização e organização de trabalho

**DIEHL** — máquinas de calcular superautomáticas

**POSTALIA** — máquinas para franquiar correspondência e selos fiscais.

**São Paulo:**

RUA VITÓRIA, 302/4, — FONE: 37-3171

**Rio de Janeiro:**

AVENIDA RIO BRANCO, 138, 14.º, — FONES: 22-6663 E 22-9880

**Pôrto Alegre:**

PRAÇA RUI BARBOSA, 220 ED. TANHAUSER 2.º, — FONE: 8323

**Distribuidores autorizados nas outras capitais do País**



*Tricot-lã*

sweater  
original

